Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 7

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony

„Miatież" Aurelego Urbańskiego

Zamieszczony niedawno w niniejszym dodatku artykuł o Aurelim Urbańskim rozbudził w moim umyśle jedno z najwcześniejszych wspomnień mego dzieciństwa. Nie miałem wówczas jeszcze ośmiu lat skończonych, gdy w „Dzienniku Polskim" wychodził cykl utworów Urbańskiego, poświęconych rokowi 1863, a zatytułowanych zbiorowo „Miatież" (tj. bunt). Jeżeli sobie dobrze przypominam, ukazywały się raz na tydzień. Był to rodzaj święta domowego w rodzinie — ojciec sam walczył w powstaniu, matka wychowała się w atmosferze powstania. Zbieraliśmy się wieczorem na głośne czytanie a odcinki z „Miatieży" skrzętnie składano. Oddziałały tak silnie na wyobraźnię dziecka, że do dziś dnia mam dla nich sentyment i potrafiłbym je cytować długiemi ustępami. A kojarzą się u mnie zawsze z głosem śp. ojca, że słabem światłem naftowej lampy i ze wzruszeniem.

To też pragnę tu uzupełnić szkicową notatkę o Aurelim Urbańskim, zajmującą się głównie jego próbami dramatycznemi, i powiedzieć słów parę o jego najdojrzalszym, a swego czasu bardzo popularnym utworze. Feljetony ukazywały się w r. 1893, potem nastąpiły wydania książkowe, w których liczba utworów rosła. Leży przedemną w tej chwili wydanie czwarte, z roku 1895 i czytam na niem wyrazy „nakładem autora". Biada książce, na której wyczytać je można w pierwszem wydaniu! Ale inaczej ma się rzecz przy czwartem. To dowód sławy, uznania i powodzenia.

Aureli Urbański, którego później pokazał mi stryj w Wydziale Krajowym — obaj tam pracowali, — był w owym czasie najwybitniejszą literacką postacią Lwowa, nadto przemówił do uczucia patrjotycznego, do wspomnień, bardziej żywotnych, niż dzisiaj (pisał w trzydziestolecie powstania), do marzeń i nadziei, do wszystkiego, co w czasie niewoli wypełniało duszę Polaka.

Dziś „Miatież" jest zapomniana i niewątpliwie niesłusznie. Mało mamy w naszej poezji liryków wojennych, a choć te są nierówne i obok ustępów przepięknych natrafia się w nich na retorykę, na fałszywy patos lub na wyrażenia, które rażą, zasługują na miejsce w literaturze. Ich usterki są może wynikiem tworzenia żywiołowego, gorączkowego. Zresztą Urbański, idąc za tradycją dzielnicową, za wzór brał sobie Ujejskiego i jemu zapewne jest najbliższy. Od niego wziął sarkazm, od niego patos, od niego dowolność w kształtowaniu materjału językowego. Zresztą jak Ujejski w „Maratonie" przed swem pokoleniem stawiał dawnych olbrzymów, aby poznało, że składa się z karłów, i zapragnęło urość, tak i Urbański — skromniejszy — marzył o „wsączeniu kropelki krwi choć w jedno młode serce", o „przekradnięciu w nie płomienia otuchy" o „zatruciu dusz młodzieńczych trucizną", rozpaczy. Niewiele za to żądał dla siebie:

Zanim z letargu Macierz Pan obudzi,
Legniesz w te prochy i ty, marny człecze!..
Druhów mych kilku serdecznych, garść ludzi,
Co mi za trumną może się powlecze,
Niechże do wieka przygwoździ mi za to
Kosy odłamek — i czapę rogatą.

(Miatież, Pożegnanie z czytelnikiem)"

A oto urywek z autografu Urbańskiego, umieszczony we wspomnieniu pośmiertnem „Tygodnika Ilustrowanego":

Bóg świadkiem — w żądz mych pogoni zuchwałej
Tytanów nigdy jam nie bieżał śladem;
Na szczyt Tarpejskiej jam nie bieżał skały,
Butnie po bardów sięgając diadem.
Bóg świadkiem — w rojeń zadumie, gdy czarni
W mózgach nam wichrzą podżegacze pychy,
Nie lauru widmo na mogilnej darni,
Jeno bukszpanu kierz mnie wabił cichy —
I z druhów dłoni snop bławatów siny.

— — — — — — — — —

Ot i ambicji tyle.

Czuł Urbański, że nie ma talentu epickiego. Był lirykiem z urodzenia i swe obrazki z tragedji 1863 roku przepajał liryzmem. Mniej był szczęśliwy tam, gdzie próbował dykcji uroczystej (i przytoczone urywki mogą być tego przykładem), natomiast osiągał wysoki poziom tam, gdzie proste opowiadanie przepajał nastrojem.

Umiał odpowiednio kreślić przyrodę którą głęboko odczuwał. Oto początek wiersza „Pierwsze karabiny":

Ranek mglisty — styczniowy — Ponury;
Ołowiane, szarugą Tną chmury,
A pod śniegu przymarzłą Powłoką
Nagie bory śpią cicho — Głęboko...
Kampinowskiej to puszczy Zacisze;
Konarami wiatr, jęcząc, Kołysze
I jak wiedźma zawodząc Na stypie,
Białe puchy z nich sypie, A sypie.

Z dłuższych wierszy w „Miatieży" postawiłbym najwyżej dwa, „Wnuczę hetmana" i „Judytę". Pierwszy to opis nieszczęśliwej bitwy pod Komorowem i bohaterskiej śmierci Juljusza Tarnowskiego.

Poeta zaczyna od nastrojowej sceny:

Na zamku dzikowskim, w kolebce
Śpi wątłe w koronkach pacholę.
Na ścianach komnaty
W rycerskiem kole
Rodu czuwają chrobre antenaty,
A z ram tych szepce:
„Śpij małe chłopię,
Buław dziedzicu i dziadów oręża...
...Posiew to Boży po wielkim potopie,
Mściciel się może legnie w Twej kolebce
Śpij, małe chłopię!"

Następuje wspomnienie czasów, w których wszyscy wrogowie korzyli się „u progów dumnej Rzeczypospolitej".

Boga ją strzegli Anieli
I my — od korda i sochy.
Minęły wieki — i my przeminęli...
Dziś..: my już niemi...
Nawet prochów naszych prochy
Już nie w naszej leżą ziemi..."

„My bojownicy z rodzica na syna" mówią dziecięciu portrety przodków. I oto mija lat dwadzieścia parę. Chłopię dorosło, idzie w swój bój pierwszy — i ostatni. Z subtelnem poczuciem formy przechodzi poeta do innego rytmu, prostszego:

Poszli nasi braciom w pomoc. Matki bronić praw.
Sercem młodem, poszli brodem, przez Wisełkę wpław.
„Wróćcie chłopcy" — szumią fale —
Krwawe zeszło rano...
Dziś — w zasadzce tam Moskale,
Wczora — was sprzedano."

Znowu nastrój groźnego oczekiwania. Po mistrzowsku łączy Urbański wzmianki o tem, co dzieje się pod Komorowem z wiadomościami o losie oddziału, który przeprawił się pod Szczucinem i tam został rozbity, oraz z lirycznie ujętemi złemi wróżbami (z tamtej strony kraczą wrony, Fale szemrzą: „Wróć!" — „Śpieszmy!" — Idą; dziarska mina... I kto z zuchów zgadnie, że już głuchy bród Szczucina, a wódz — w Wiśle, na dnie!...)

Następuje walka z ukrytymi we wsi Moskalami — i tu poznajemy owo chłopię z dzikowskiego zamku:

Do ataku! — Przodem sadzi kary koń, jak kruk,
A na karym adjutancik, hetmanowy wnuk.
Wzrok się śmieje — płoną lica —
Konik pod nim hasa —
Skrami pryska mu szablica —
Rewolwer u pasa.

Nad Wisłą ukazuje się tuman kurzu. To ów oddział z pod Szczucina! Pomoc bliska. Zagrzani tem powstańcy wyrzucają piechotę rosyjską ze wsi. Lecz z kurzu wyłaniają się carscy dragoni. Oddział Jordana wzięty we dwa ognie.

Karmazyna krew zawrzała; wre i chłopska krew.
Dwa natarcia odparł młodzian; bije się jak lew.
Żeby choć, ot, jedno działo!...
Męstwo ich nie zbawi:
Krwawo słonko zaświtało...
Zajdzie jeszcze krwawiej....

Moskale odbierają szturmem wieś. Oddział w czystem polu topnieje pod ogniem. „Jegrów pełna wprost stodoła; Palą, jak do celu". Powstańcy szukają ocalenia w ataku na bagnety. Adjutant „szabelkę precz odpasze, W garść porywa sztuciec":

Jenerale, szopy nasze!
Paść, byle nie uciec."

Do szopy dochodzi siedmiu ochotników z wnukiem hetmana na czele, „Wpadli, stał w szynelach grzęźnie, Po łbach kolba dudni". Wzięta szopa... „Jest ich siedmiu, a na toku wrażych trupów zwał."

Wiódł ich młodzian wątły, blady,
Krew mu mundur brucze...
Zaszeptały w grobach dziady:
Wnuczę — nasze wnucze.

W tej chwili nietrwałego triumfu adjutant ginie od kuli z za węgła. Epilog — na wiejskim cmentarzu. (Urbański stale używa formy „smętarz"). „Wzdłuż tarniny łańcuch niemy nagich, skłutych zwłok... Nagi leży — wnuk hetmanów. Obok — nagi chłop."

Społem ziemią was przygarną.
Chłopie — i ty panie!
Nad mogiłą zaś, nad czarną
Nawet krzyż nie stanie...

Urbański był konserwatystą i wielbicielem szlacheckiej przeszłości Polski. W niektórych wierszach, włączonych do zbiorku, broni tej przeszłości, przed bezwzględnem potępieniem ludowców, którzy widzą tylko Targowicę, czy sejm grodzieński. Rzuca im w twarz słowa „Wyż lepsi?!" Jest ślepy na dodatnie strony ruchu ludowego (zapomina również, że owego bezwzględnego potępiania przeszłości uczyła przedewszystkiem książka szlachcica i konserwatysty, Bobrzyńskiego). Brak Urbańskiemu zmysłu politycznego, ma zato przeczucie. Marzy o walce wszystkich Polaków, w imię jednego celu zjednoczonych, o niepodległość. To też równie wzruszające utwory poświęca w „Miatieży" także mieszczanom i chłopom.

Oto właścicielka warszawskiej „bawarji" Anna Gudzińska. Między sforą carskich szpiegów, a żandarmerją tajnego rządu wre walka na śmierć i życie. Wydano wyrok na niebezpiecznego ajenta i trzykrotnie nie udał się zamach. „Biały Janek" (Jan Karłowicz) wyśledził „Achillesa słabą piętę". Szpieg jest kobieciarzem i zwrócił uwagę na panią Hannę. Urbańskiemu

intuicja poetycka każe przerwać opowiadanie. Nie wiemy, kto do niej mówi — „Biały Janek" — poeta — czy może ona sama do siebie: Oto pożóg dymy, rannych jęki, przysypane rumowiskiem ugory — „Już nie łzami oko spływa, krwią serdeczną płacze".

I nie pierwsze to pokolenie...
Nie dość ofiar — i krwi nie dość... Ruń niech tonie w chwasty!
Giną męże — ha niech giną!.... Czas i na niewiasty.
Hej, wy dzwony z Świątyń Pańskich, jękiem wy dzwonicie:
Pani Hanno, pani Hanno, oddasz cześć i życie?

Szybko posuwa się akcja naprzód: Oto walka wewnętrzna pani Hanny. Najtrudniej jej pogodzić się z utratą czci ludzkiej. Lecz kazano, usłucha. Oto jej sypialnia — na łóżku trup, okno otwarte, mściciel daleko. „W kącie, skulony, przerażeniem siny, świadek — jedyny..."

Z trupem sama... oh..: sama:::
Tak cicho — a krew pluska.... Cyt! zgrzytnęła brama...
Przychodzą zwłoki wywlec z jej komnaty?...
Ha, może katy?...

Tortury nic nie wycisnęły z Judyty. „Nic nie wiem. I nie powiem nic!" były jej jedyne słowa.

Stoją zbiry — czoła zwieszą;
W stół pan prezes ręką grzmotnie.
I padł wyrok: „W Sybir pieszo —
Do katorgi — dożywotnie".
Gdy kat ciało w strzępy potnie,
Rany goi — lód...

I widzimy panią Hannę, idącą na Sybir. Na piersiach ma w woreczku grudę ziemi ojczystej.

Pani Hanno, pani Hanno, twej młodości szkoda;
Krew i mleko byłaś wczora... Dziś, gdzie Twa uroda?...
Nie, napróżno łzawem okiem rzucasz ty za siebie:
Polski już nie ujrzysz twojej, jako Bóg na niebie.
Wkrótce w lodach ty Sybiru oczy zawrzesz dumne;
Każże ziemi zeschłą grudę włożyć sobie w trumnę.

Ten utwór natchnął Urbańskiemu obraz Jacka Malczewskiego „Śmierć wygnanki".

A chłopi? Nie mam tu już miejsca na streszczanie i cytowanie. Wspomnę tylko o paru utworach. Oto „Petersburskie wolontjery" — arystokratyczni ochotnicy, wyperfumowani, wystrojeni, traktujący wojnę, jak polowanie. Naprzeciw nich „miatieży drjań — ot, w chłopa chłop, w siermięgach kosynierzy". Skupili się na cmentarzu i modlą się, gdy tamci śmieją się przed bojem i wesoło żartują. Zawrzała walka na śmierć i życie. Padli pokotem kniazie, a chłopi z kos otarli krew: „O Jezu bądź pochwalon!" Oto Błażek, mrukliwy chłop, któremu zła macocha przetrąciła nogę, a ekonom oko wybił batem. Błażek wypalał węgle nad granicą — i przemycał broń. Ale słyszał utyskiwania powstańców na brak armat. Armaty przez kordon nie przemyci w worku... Więc zrobił ją z dębowego pnia i okuł obręczami. Zawrzała bitwa. Strzał „Błażkowej armaty" ocalił oddział w ciężkiej chwili, ale on sam zginął, poszarpany w strzępy jej szczątkami, gdy pękła. Oto Jaga cyganicha, co za Wisłę przewioźła białego panicza i jego ważne papiery, a ścigających Moskali potopiła, poświęcając i własne życie. Oto unita Ulas, co o jednej nodze poszedł bić schizmatyków i w Brześciu zginął na szubienicy.

Prawda, Urbański z jednej strony gromadzi same światła — nawet żydów, jak w dramatach, idealizuje — z drugiej tylko wyjątkowo ukaże się pułkownik Korff (co wolał w łeb sobie strzelić, niż spełnić hańbiące rozkazy) lub praporszczyk Kryłow (co więźnia — niby chciał wieszać, ale za blisko austrjackiej granicy), Na ogół po jednej stronie jest białe, po drugiej czarne. I rzeczywistość, jednak niedaleka była od tego obrazu — i odpowiadał on celowi Urbańskiego.

Czas kończyć, bo przechodziłbym tu eden utwór po drugim. Zamiast tego wybieram dwa do przytoczenia w całości, muszę tylko ten wybór uzasadnić. Jest on może bardzo osobisty — dyktuje mi go dziecinny jeszcze sentyment. Lecz „Ojciec Roch" posłuży za przykład, jak można postać komiczną zrobić bohaterem tragedji. Roch to owa Słowackiego „anielska dusza w czerepie rubasznym". A „Dwór w Glanowie", artystycznie niższy nieco, upamiętnia wypadek, który rzeczywiście na cud wygląda. Krukowieckiego za dawnych czasów widywałem w Przemyślu, gdzie mieszkał. Był synem nieszczęśliwego jenerała z roku 1831. Zawsze bronił pamięci ojca — w każdym razie pragnął w roku 1863 zatrzeć jego niesławę swemi czynami. Urbański niewiele przesadził w tym wierszu. Mówi:

Pół sta trupa nakładli,
Rannych leży dwie sotnie.

Otóż zabitych mieli Moskale nawet więcej — 54, rannych co najmniej sto kilkunastu.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Dwa jubileusze muzyczne

U schyłku XVII. wieku, w epoce przełomowej, w której podówczas panujący styl absolutnej polifonji z przewagą nużących imitacyj kontrapunktycznych ustępuje miejsca coraz ściślej występującemu, swobodniejszemu stylowi harmonicznemu, tworzącemu barwne podłoże do akompanjamentu melodji, przychodzą na świat dwaj genjalni muzycy, kompozytorowie monumentalnych dzieł, będących odtąd niedościgłym wzorem idealnego piękna muzycznego, kojarzącego prawdziwą sztukę, olbrzymią wiedzę i niezrównaną słodycz — gdy o inwencję melodyjną chodzi.

250 lat temu (r. 1685), w tymsamym roku rodzą się genjalny G. F. Haendel i wielki Jan S. Bach. Ci dwaj ludzie jednocześnie żyjący i jakby przy wspólnym warstacie działający, nawet się osobiście nie znali — a tworzyli jakby pod tchnieniem tej samej idei i do tego samego celu dążyli, bo do wskazania ludzkości najgłębszej wartości absolutnego piękna muzycznego, kładąc równocześnie trwałe i kunsztowne podwaliny całej europejskiej sztuce muzycznej.

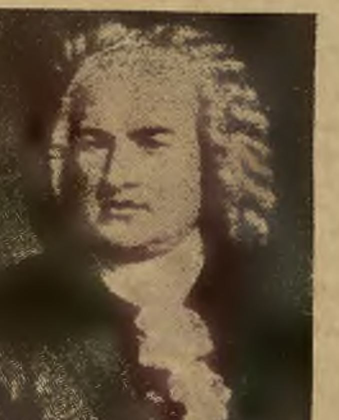


J. Fr. Händel

Minęły wieki, pojawiły się na polu tej sztuki genjusze nowe, żaden jednak dotąd nie przyćmił glorji tych, którzy przed przeszło dwoma wiekami — dzięki olbrzymiemu talentowi, głębokiej wiedzy, nadludzkiej pracy i dzięki tej prawdziwej iskrze Bożej — w sercach ich tkwiącej — obdarzyli świat bezmierną ilością wiekopomnych kompozycyj, stanowiących epokowy dorobek muzyczny całego cywilizowanego świata.

Jakkolwiek Haendel i Bach owoce swej pracy u tego samego składali ołtarza, jednej służyli idei, przecie drogi ich życia i warunki pracy bardzo się różniły. Haendel — bywalec światowy, wiele podróżował, 3 lata spędził we Włoszech, w zaraniu swej twórczości spotkał się z uznaniem i podziwem dla swego talentu, piastował wysoki urząd kierownika opery w Hamburgu, dyrygenta narodowej orkiestry w Hannowerze, aż wreszcie osiadł w Londynie — jako kierownik tamtejszej opery, uważany odtąd przez Anglików za ich narodowego kompozytora.

Bach — od dzieciństwa w atmosferze muzycznej chowany — ile — że dziad jego, ojciec, stryjowie i starszy brat wśród muzyków niepoślednie zajmowali stanowiska, talent swój w dziedzictwie wziąwszy, na najwyższe wywiódł go wyżyny, choć swe wielkie zdobycze przeważnie własnej zawdzięczał pracy. Piastując skromne, ale ważne stanowiska organisty w naczelnych kościołach w Weimar, w Arnstadt, Mühlhausen, Köthen a wreszcie w Lipsku, dokąd powołany został na stanowisko kantora, w szczerym kulcie dla Stwórcy czerpał natchnienie — swej pracy kompozytorskiej, przepojonej głęboką wiarą i uwielbieniem dla Chrystusa.



Jan Sebastjan Bach

Tę pracę przeplatał mistrzowską grą na skrzypcach i organach, poświęcając też lwią jej część zagadnieniom pedagogji muzycznej i budując podwaliny dla rozwoju techniki gry fortepianowej, pozostawione w nieśmiertelnych i wybitnych dziełach: „Wohltemperiertes Klavier" i „Kunst der Fuge".

Dla Haendla — przynajmniej początkowo — terenem pracy kompozytorskiej była opera, ku której skłonił się jego duch pod wrażeniem pobytu we Włoszech. Oper tych napisał 12-cie do tekstów niemieckich i włoskich (Almira, Nero, Florindo e Dafne, Rodrigo, Agrypina, Deidamia i inne). Jednakże chociaż utrwalił się w przekonaniu, że opera jest najwłaściwszem polem jego twórczości, nie ta forma muzyczna stała się najdoskonalszym wyrazem jego wiedzy i daru — jeno oratorjum. Kiedy zawiedziony poniekąd w swych marzeniach, porzucając formę opery zwrócił się ku formie oratoryjnej; wówczas dopiero począł tworzyć najwybitniejsze arcydzieła, wśród których oratorja: „Saul", „Izrael w Egipcie", „Samson", „Juda Makkabeusz" a nadewszystko „Messias" — zajmują najprzedniejsze miejsce. Cechą oratorjów Haendla jest uzmysłowianie akcji dramatycznej mistrzowskiemi ustępami choral-

Z „Miatieży" A. Urbańskiego

„Ojciec" Roch

Był braciszek, rądli mistrz w klasztorze,
Gruby, spasły, jowialny wieczyście.
W zieleń groby zdobił Boże,
Kalikował organiście;
Codzień z tuzin zatabaczał chust;
Tłustą łapę kmiotkom pchał do ust,
Gdy skarbonką brząkał po babińcu.
A łaciny pod korzec nie chował,
Pater-noster liznąwszy z brewiarza.
Gwardjan mniej tam imponował
Od brzuchala-kanafarza.
Antyfony piał — i spijał miód;
Żywot zresztą bogobojny wiódł;
Moskal, za się, był mu — „diabolus".
Toż gdy Kuba wpadł, jak rak czerwony:
„Nasi idą! Nasi! O la Boga!"
Z wieży gdy huknęły dzwony,
Misy odbiegł i pieroga
I, co żywo — sapiąc uszedł w las.
„Sanctus Rochus gromem by mnie trzasł,
Gdybym z kopę nie zmiótł sukinsynów!"
Ha, no — chadza z powstańcami — chadza,
Gruby, spasły, jowialny rubacha.
Co mu tam klasztorna władza!
Mruczy jeno — ręką macha:
„Nam nowalją — kapuściany liść;
Patres — twardą mogą pieczeń gryść.
Lew — krwi łaknie, quarens, quem devoret".

* * *

Sroga klęska pod Staszowem, sroga.
Garstka młodzi cofa się w nieładzie.
Przemoc ją napiera wroga,
Chłopców, jak pokosem, kładzie.
Bieżąc — żegna trupy „Ojciec" Roch;
Z małych ślepiąt łzy kapią, jak groch:
„Requiescant, parvuli, in pace"...
Jedna tylko wolna już drożyna,
Przez rzeczułkę, gąszczem — hen — przez mostek.
Ścieżka w las się stromo wspina;
Napad wstrzyma, ot, wyrostek.
Cyt!... pod belką kucnie łyczak ów —
I z za krzaków palić będzie z luf...
Tamci — ujdą; ten, pod mostkiem — zginie.
„Surge puer!"... Wlezę ja w te krzaki;
A dwururek cisnąć mi tu kilka.
„Milczeć Słuchać. Marsz, pędraki!"
Poszli... Westchnął... Krótka chwilka,
A w wądole mrowie. Gwar i ruch.
Z rożka tedy spory zażył niuch —
Czeka — mierzy — łup! łup! — jak do kaczek.
Dwa już trupy... Zmięsza się kohorta.
Kulek celność carskie jegry zmiata.
Łup! hrym! — Znów dwu...
Hrym! — Do czorta...
Stój!... Zasadzka. W tył, rebiata!
Ha no — palba. Drzazgi — trzask — i dym.
Roch, pod mostkiem, pacierz klepie — hrym!
A co kropnie — zażyje tabaki.
Znów uderzą... Brzmi z pod mostka, w skrusze,
Psalm konania — lufa się wychyla.
Łup! — „Przyjm Panie, moją duszę...
Dies irae — dies illa"...
Most zdobyty. Moskwy wtarga wał.
Jeszcze nabój... Hrym! — Ostatni strzał —
„De profundis clamavi"... i skonał.

Dwór w Glanowie

Płoną stogi — i brogi,
Dwór chłonięty pożogą;
A w tym dworze dziewięciu;
Prócz nich — więcej nikogo.
Pieką żary — dym dławi,
W okół skryte szyniele;
Ich się broni dziewięciu,
Krukowiecki na czele.
„Wiara! Trzymać się ostro!
Choćby zginąć przykładnie.
Marji Panny dziś Święto —
Włos nam z głowy nie spadnie!"
Syczą krokwie — dach trzeszczy,
Płomię bucha jak z sąga,
A w płomieniach dziewięciu
Carskiej psiarni urąga.
Hej, trzy roty — piechoty,
To nie lada — gromada.
A ich jeno dziewięciu:
Lecz co palną — trup pada.
Głowy w cebry zamoczą;
Okna zaprą pościelą;
Czarni z sadzy — wpół nadzy,
Co nabiją — to strzelą.
Jęk uderza w powietrze,
Skoro celny strzał grzmotnie;
Pół sta trupa nakładli,
Rannych leży z dwie sotnie.
Bledną szlify od wstydu:
Czy się czorty sprzysięgły?...
Płazem sieką mużyków,
A mużyki — za węgły!
Ryknie w okna kapitan,
(Acz się w kłąbie skryć stara),
„Hej, na łaskę — niełaskę,
Zdajcie wy się na Cara!"
Krukowiecki mu na to:
„Pokaż-no łeb z za krzaka"...
Huknął celnie z gwintówki:
„Masz odpowiedź Polaka!"
Czterokrotnie się zwarli —
Cztery szturmy odparli —
Żywi jegry poświadczą,
Jeszcze lepiej — umarli.
Już i wieczór... Zawracaj!
Czas do miasta załodze.
Zatrąbili — i poszli —
Baby koląc po drodze.
O. Królowo Ty Polska,
Wiara w Ciebie się ziszcza:
W las ich uszło dziewięciu —
A dwór... zapadł się w zgliszcza.

nemi — w przeciwieństwie do oratorjów włoskich, w których podówczas wykładnikiem treści tekstu były partje solowe, ujęte w arje i recitativa. Do najwspanialszych ustępów choralnych należy słynne „Aleluja“ z oratorjum „Messias“. Obok biblijnych napisał Haendel szereg oratorjów świeckich i mitologicznych, ponadto wzbogacił literaturę — angielską zwłaszcza — wielką ilością hymnów, kantat solowych i wielogłosowych i duetów kameralnych. Ponadto w dziale muzyki instrumentalnej pozostawił w spuściźnie dużą liczbę koncertów, przedewszystkiem organowych, (20 koncertów z orkiestrą) i na instrumenty smyczkowe, 12 sonat skrzypcowych, szereg suit fortepianowych, sonat i warjacyj. —

Twórczość Bacha nie sięgała w ogólności po laury na polu kompozycyj oper. Wychowany i pracujący w atmosferze muzyki kościelnej, jej też poświęcił maximum swej pracy. Do najwspanialszych jego dzieł, imponujących tak wielkością jak i głębią — należą passje wielkanocne — do słów 4-ech ewangelistów skomponowane, z których jeno dwie się zachowały (do słów św. Jana i św. Mateusza) — i potężna, monumentalna Missa H-moll, stanowiąca koronę jego natchnionej twórczości. Skolei idą trzy wielkie oratorja, około 200 kantat i przeszło dwa razy tyle chorałów czterogłosowych, motety, 4 krótkie msze a wreszcie — w dziale muzyki świeckiej — szereg kantat i pieśni solowych. Niesposób tu też wyliczyć ponadto olbrzymiej wprost ilości dzieł organowych, fortepianowych, skrzypcowych i innych, bo dość gdy wymienimy jego preludja, fugi, toccaty, passacaglie, suity, inwencje, koncerty, sonaty i owo najwspanialsze dzieło „Kunst“ der Fuge“. Dodajmy do tego — ogólnie naszkicowanego dorobku — zasługi, które położył około ulepszeń technicznych fortepianu i niezaprzeczony fakt, że dzięki swej muzycznej i świadomej celu pracy twórczej stał się mistrzem formy polifonicznej — a zrozumiemy, na czem polega jego nieśmiertelne i dotąd nieprzyćmiona wielkość. Wspomnieć należy, że z licznego jego potomstwa (20 dzieci), z którego wychowało się 4 córki i 6 synów, kilku z nich odziedziczyło po wielkim ojcu zdolności muzyczne — a już najbardziej Karol Filip Emanuel i Jan Krystjan.

Bach umarł w r. 1750 — a Haendel przeżył go o 10 lat.

Pamięć ich jednak i trwalsze od granitu pomniki ich twórczości przeżyły już dwa wieki a mimo rozrostu sztuki muzycznej, mimo coraz śmielszych i nowszych zdobyczy na jej polu — będą zawsze żywotne, bo stanowiły i stanowią niewzruszony fundament olbrzymiego gmachu wiedzy i sztuki muzycznej.

* * *

Ku uczczeniu pamięci Haendla wykona w dniach najbliższych Polskie Towarzystwo Muzyczne we Lwowie słynne jego arcydzieło — oratorjum: „Mesjasz“.

W. HAUSMAN.

Od renesansu do chwili obecnej *)

(L.)

Tom trzeci historji sztuki, wydanej przez Zakład Nar. im. Ossolińskich. wyszedł spod pióra trzech uczonych Materjał podzielono w ten sposób, że przedstawienie rozwoju architektury nowożytnej przypadło Władysławowi Tadeuszowi Szydłowskiemu, profesosytetu w Warszawie. nowożytne malarstwo i rzeźba Janowi Żarnowskiemu z Paryża, a sztuka XIX i XX wieku Tadeuszowi Szydłowskiemu, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Trzeba przyznać, że autorowie mieli zadanie utrudnione z powodu zbyt ciasnych ram, jakie wyznaczono na dzieje sztuki od renesansu po dzień dzisiejszy. Należało więc znaleźć tego rodzaju ujęcie, by dla pełnego zobrazowania rozwoju sztuki podkreślić tylko rzeczy istotne.

Metoda, jaką zastosował prof. Tatarkiewicz, dała w rezultacie niezwykle przejrzysty przegląd kształtowania się nowoczesnej architektury. Dieląc jej rozwój na poszczególne okresy, przed omówieniem jej dziejów, wprowadza czytelnika w zasady danego stylu. Oczywiście brak miejsca nie dozwala na rozwinięcie szczegółowego systemu formalnego, wystarczyć musi wskazanie najważniejszych elementów konstrukcyjnych. Głównie jednak stara się autor ustalić podstawy kształtowania, a nawet związać je do pewnego stopnia z ogólnym rozwojem myśli ludzkiej, co wobec ciasnych ram podręcznika dało się ledwie naszkicować.

Przed zapoznaniem się więc z materjałem dziejowym czytelnik wprowadzony jest w system kształtowania, jak i też podstawy danego stylu. Pozwala to też na pełne ocenienie poszczególnych wartości, które do ogólnego rozwoju wnosi silniejsza indywidualność twórcza.

Stojąc na tem słusznem stanowisku, że dzieło sztuki jest wynikiem niezmiernie skomplikowanych i długotrwałych procesów rozwojowych, uwzględnia autor jednak rolę jednostki twórczej i wpływ, jaki ona wywiera na rozwój ogólny. Indywidualności tak silnych jest w dziejach sztuki bardzo mało; tem donioślejsze staje się ich znaczenie dla całokształtu. Toteż w pełni ocenia Tatarkiewicz zdobycze architektów renesansu we Włoszech, którzy z całą świadomością, właściwą tej epoce, zmierzali do realizacji swych zamierzeń. Dość blado tylko zaznacza się w dziele Tatarkiewicza rola Michała Anioła, jako architekty. W dalszym jednak ciągu uwzględnia już autor w pełni współudział poszczególnych architektów w różnych rozwojach.

Do przedstawienia rozwoju architektury nowoczesnej nie wnosi Tatarkiewicz zasadniczo nowych oryginalnych poglądów, daje jednak po raz pierwszy próbę syntetycznego ujęcia dziejów architektury w Polsce. Pozatem doskonałość metody. jak i też przejrzystość i konsekwencja w ujęciu sprawiają, że podręcznik ten odpowiada w pełni swoim wymogom. Do zalet jego przybywa jeszcze jedna, która wynika z zupełnego objektywizmu autora w określaniu genezy sztuki i współudziału narodów w wykształceniu się danego stylu, co jest tem cenniejsze, wobec zaznaczającej się zwłaszcza w ostatnich czasach tendencyjności w analogicznych wydawnictwach zagranicznych. W dalszej konsekwencji zdołał Tatarkiewicz ustalić wszelkie odrębności, które wypływają z podłoża rasowego i scharakteryzować odmiany stylowe, które przejawiły się w odmiennem ukształtowaniu form na wspólnej podstawie stylowej.

Dzieje architektury polskiej doznały równomiernego z innemi traktowania. Wchodzą one w całokształt rozwoju, autor łączy je z ogólnym stanem, a specyficzne właściwości wyodrębnia. Renesans w Polsce tylko w pierwszej swej fazie pozostawał w łączności z architekturą włoską, co łączyło się zresztą z mecenatem Jagiellonów, w następnym jednak rozwoju przychodzą do głosu elementy rodzime, które powodują wprost polszczenie się stylu. Obok architektów sprowadzonych z Włoch spotykamy też architektów miejscowych, których nazwiska znamy, a obok Krakowa powstają też inne ośrodki, w których krzewi się nowa odmiana stylowa Aktywność polska przejawia się również w oddziaływaniu na kraje sąsiednie, jak zbliżenie się renesansu z tradycją bizantyńską, co dokonało się we Lwowie, gdzie wytworzył się odrębny typ cerkwi. Jest to typ trójkopułowy, którego głównym wzorem była cerkiew wołoska we Lwowie.

Tatarkiewicz uważa, że renesans znalazł w Polsce silny oddźwięk, potrzeby polskie i smak polski wybiły na tym stylu piętno silniejsze niż kiedykolwiek. Ukształtowawszy go po swojemu, kraj przywiązał się doń. Równocześnie promieniuje kultura polska poza granice kraju. W pierwszej połowie XVI w. Kraków był pierwszem ogniskiem renesansu włoskiego we wschodniej Europie. Attyki polskie pojawiły się w północnych Węgrzech, w Czechach, na Śląsku, na północ wpływy polskie sięgały Szwecji.

Podobnie też postępuje autor przy omawianiu architektury innych okresów stylowych. Oparcie się o materjał zabytkowy i łączenie poszczególnych faktów artystycznych, a nie podporządkowanie się własnej czy cudzej sugestji sprawiły, że Tatarkiewicz dał w swym podręczniku nietylko dzieje architektury, ale też uwzględnia w pełni jej rozwój, uzależniony w wielkiej mierze od różnych czynników, które weń wnosiły poszczególne narody.

Podobną metodę badań stosuje również J. Żarnowski, który opracował dzieje nowoczesnej rzeźby i malarstwa i wszystkie dodatnie cechy, jakie podkreśliliśmy w dziale przypadającym prof Tatarkiewiczowi, związane są z tekstem Żarnowskiego. Omawianie poszczególnych okresów stylowych uprzedza również syntetycznym skrótem, który ma wprowadzić w świat danych pojęć. I rzecz szczególna, choć przypadają mu te same okresy stylowe co Tatarkiewiczowi, nigdy nie powtarza jego ujęć, lecz daje niezmiernie szczęśliwe dopowiedzenie ich, a nawet pogłębienie. Żarnowski stara się przedewszystkiem znaleźć wspólną podstawę swych rozważań, a tem samem połączyć poszczególne zjawiska na ich podłożu ideowem. Historję malarstwa i rzeźby od XIV. do końca XVIII w. uważa autor jako jednolitą całość w ogólnym rozwoju sztuki europejskiej. W czasie tym wiele czynników kształtowało rozwój artystyczny, a ich różnorodność wypływała w wielkiej mierze z właściwości narodowych, z różnorodności zadań i kierunków, wreszcie z rozmaitości kompleksów artystycznych lub ideowych. Malarstwo było jednak niezmiennie tą dziedziną w dziejach życia duchowego, w której istota i rozwój kultury znajdywały pełny wyraz.

Żarnowski przyznając malarstwu znaczenie samoistne, uważa je za jeden z głównych organów poznawczych. „Malarstwo miało rozwiązać problem stosunku naszych zmysłów do świata widomego, stać się narzędziem optycznego poznania świata we wszystkich jego przejawach i oddźwiękiem wszystkiego, co da się wyrazić w formach i kolorach. Okres ten zaczyna się od wielkiego dzieła indywidualnego (Giotto). Zgodnie też z ogólnym rozwojem kultury rozwija się malarstwo pod znakiem wciąż wzmagającego się indywidualizmu. W XIV w. w cyklach fresków religijnych, artysta przemawia popularnie do wszystkich, w XVI w. zaś dzieła Michała Anioła — to proklamacja prymatu indywidualności twórczej. W XVII w. Rembrandt zwraca się do jednostki poprzez indywidualny obraz, odsłaniający tajnie duszy ludzkiej, a w sto lat potem Chardin maluje obrazy, obliczone na małe koło wybranych znawców, będące już tylko jakby wzmiankami ulotnemi o drobnych osobistych sprawach. Ogólna linja rozwoju jest więc wyraźna“.

Już ten cytat pozwala scharakteryzować stosunek Żarnowskiego do sztuki, jak i też rodzaj jego poznania. Żarnowski dociera do głębi duchowej po przez walory czysto plastyczne, które umie odczuć i wytłumaczyć. Łącząc je z drgnieniami duszy ludzkiej, daje prawdziwy obraz jej dziejów, widziany po przez formy plastyczne. Jest to jedyna właściwa metoda badań dla historyka sztuki.

Przedstawianie poszczególnych okresów daje Żarnowskiemu w pełni możliwość określenia charakteru poszczególnych wartości formalnych, mimo ciasnych ram podręcznika. Rzeczywiście czytanie go sprawia satysfakcję, gdy zważy się, jak autor umiejętnie stopniuje i nie wychodząc nigdy poza kryterja czysto rzeczowe, wyznacza poszczególnym artystom miejsce w ogólnym łańcuchu rozwojowym.

Uczuciowo bliższym jest Żarnowskiemu barok, do którego wstęp zasługuje na baczniejszą uwagę. W przeciwieństwie do tego quattrocento, choć podkreślono wszystkie istotne jego założenia, wypadło dość oschle. Jest to zapewne wynikiem chęci dostosowania się autora do zbyt ciasnych ram, jakie wyznaczono w tem wydawnictwie nowoczesnej rzeźbie i malarstwu na korzyść architektury. Tem niemniej pokonał autor szczęśliwie te przeszkody, a nawet zdołał niejednokrotnie wyrazić odrębny pogląd na problemy artystyczne, do których stosunek Żarnowskiego opiera sie na samoistnych podstawach.

u. m.

*) Historja Sztuki, Tom III. Władysław Tatarkiewicz — Architektura nowożytna. Jan Żarnowski — Nowożytne malarstwo i rzeźba — Tadeusz Szydłowski — Sztuka XIX i XX wieku. Lwów, Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossoliskich 1934, str. 514 (342 il. w tekście).

Ze świata książki

Hanna Mortkowicz: Na drogach Polski (Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa). Nasza literatura krajoznawcza wzbogaciła się tem dziełem o nową, cenną pozycję.

Nie jest to suchy dziennik podróży, ani wykaz encyklopedyczny lub rejestracja zaobserwowanych zjawisk, faktów i ciekawostek.

Autorka, uzbrojona w wielką erudycję, doskonałą znajomość przeszłości tej ziemi, rozporządzająca dużym zasobem wiadomości z dziedziny historji, architektury, etnografji, a nawet geologji, — szuka w każdym napotkanym krajobrazie jego cech najbardziej charakterystycznych, stara się podkreślić jego lokalny koloryt.

Przy takiem podejściu do tematu opisy autorki nabierają wartości niemal jakiegoś studjum literacko-krajoznawczego, gdzie nierzadko znajdzie się miejsce i na poważne refleksje społeczne i na ciekawe wspomnienia historyczne i na dygresje z dziedziny kultury i sztuki.

I choć tu i ówdzie trudno pogodzić się w zupełności ze śmiałemi poglądami autorki (np. w rozdziale „Kraków“), — zapominamy chętnie o tych, usterkach, świadomi tego, że Mortkowiczówna, przy całem staraniu się o objektywność, nie zdołała wyzbyć się swego indywidualnego sposobu patrzenia.

Toż sama zaznacza na wstępie, że: „nieskończoność jest sposobów indywidualnego podejścia do świata

Zwiedzamy wraz z autorką znane i mało znane kąty naszego kraju, od Warszawy i Krakowa począwszy, aż po jeziora Wigry i Dryświaty ,po puszczę białowiecką, Czeremosz, i Równe, Łódź, Gopła i Przasnysz.

O każdej z tych okolic ma do powiedzenia coś ciekawego, daje nam krótką a bystrą syntezę ich właściwości.

Znajdą się w tej książce rzeczy słabsze, całość jednak, opracowana starannie, pisana pięknym bogatym językiem, a dotego ozdobiona 50 drzeworytami T. Cieślewskiego, jest książką naprawdę piękna i wartościową.

Z dziejów medycyny w Indjach

W ZAMIERZCHŁEJ PRZESZŁOŚCI

Jak gdzieindziej tak i w Indjach pierwszymi lekarzami, o których istnieniu nam wogóle coś wiadomo, byli czarodzieje. Zaświadczają to wyraźnie wzmianki, zawarte w literaturze wedyjskiej: Rygweda („Wiedza hymnów") wśród hymnów i pieśni zawiera i magiczne formułki; Atharwaweda („Wiedza czarów") jest wprost zbiorem zaklęć czarodziejskich, których spory odsetek tworzą lecznicze; wreszcie wedyjska literatura rytualna roi się niemal od tego rodzaju formułek. Już wtedy też — zgórą 3000 lat temu — znano zioła lecznicze. Nawiasem mówiąc, ten związek medycyny z magią dochował się przez wieki całe, poczęści jeszcze do naszych dni: w późniejszych znacznie dziełach lekarskich, roszczących sobie pretensje do naukowości, jest często mowa o demonach jako przyczynach chorób i o wypędzaniu ich spomocą ceremonji magicznych.

Już w tekstach wedyjskich jednak znajdujemy także pewne zaczątki anatomji, embrjologji i higjeny oraz chirurgji. Ciekawy jest tradycyjny podział „wiedzy o życiu" (a jurweda) czyli medycyny; obejmuje on mian. wielką chirurgję, małą chirurgję, leczenie chorób ciała, demonologja czyli naukę o demonach, wywołujących choroby, i ich wypędzaniu; dalej medycynę dziecięcą, toksykologję czyli naukę o truciznach, naukę o eliksirach, graniczącą już z alchemją, i wreszcie naukę o t. zw. aphrodisiaca.

CO MÓWI LITERATURA BUDDYJSKA?

Częste wzmianki o medycynie spotykamy w literaturze buddyjskiej, i to już dawniejszej. W legendzie o Buddzie występuje znakomity lekarz chorób dziecięcych Dżiwaka. Inny tekst buddyjski wymienia piękną litanję medykamentów, wspominając też o parówkach (t.j. kąpielach), puszczaniu krwi, środkach na przeczyszczenie i na wymioty, instrumentach chirurgicznych i t. p. W jeszcze innym stwierdzić można dobrą znajomość chirurgji. Szczyt rozkwitu medycyny buddyjskiej przypada bodaj na czas panowania wielkiego cesarza indyjskiego Asioki (269—232), gorliwego buddysty, który, nie zapominając i o zdrowiu cielesnem swych poddanych, zakładał szpitale i wogóle znacznie polepszył ogólne stosunki zdrowotne w swem państwie. O zasługach jego świadczą edykty, jakie na obszarze całego kraju kazał ryć na skałach i słupach kamiennych.

Z drugiej połowy w. IV naszej ery pochodzi najprawdopodobniej znaleziony w r. 1890 przez por. Bowera i uczonego Hoernlego na terenie chińskiego Turkiestanu w t. zw. stupie czyli buddyjskiej budowli pamiątkowej rękopis, zawierający m. in. trzy najstarsze dające się datować dość dokładnie teksty medyczne, napisane przez buddystów. Jeden z tych tekstów mówi o pochodzeniu czosnku, mającego leczyć wiele chorób (jak i dziś niejeden twierdzi) i — co bodaj równie ważne — przedłużać życie od stu lat; dalej o trawieniu, o eliksirze, zapewniającym ni mniej ni więcej tylko... okrągły tysiączek lat życia; o lkach wzmacniających, maściach na oczy i t.d. Drugi, najdłuższy z nich trzech, zatytułowany dosłownie „Śmietanka" (nawanitaka) jako mający stanowić wybór najlepszych przepisów z dawniejszych podręczników, omawia proszki, wywary, olejki, lewatywy itd.

I-cing (druga połowa w. VII), jeden z wielu pielgrzymów chińskich, którzy odwiedzali Indje jako ojczyznę Buddy, w relacji ze swej podróży rozpisuje się wcale szeroko o medycynie indyjskiej.

TRZECH „OJCÓW MEDYCYNY"

Nazwisk autorów dzieł medycyny powstałych mniejwięcej do początków naszej ery, faktycznie nie znamy. Nazwiska bowiem, jakie podają nam Hindusi — sypiąc niemi hojnie jak z rękawa, trzeba przyznać — dla owego dawniejszego okresu medycyny są często zmyślone, a jeśli nawet odpowiadają prawdzie, nauka europejska nie jest w stanie — spowodu swoistości tradycji indyjskiej — określić nawet w przybliżeniu, co naprawdę jest dziełem tego czy owego autora. Dopiero w pierwszych wiekach naszej ery zmienia się stan rzeczy na lepsze.

Zachowały się mianowicie trzy wielkie kompendja medycyny, zwane sanhita, a napisane najprawdopodobniej — jak i Hindusi twierdzą — przez Czaraka, Suśrutę i Wagbhatę. Czaraka był podobno nadwornym lekarzem króla Kaniszki i żyłby w takim razie gdzieś w w. II, chociaż całkiem pewne to nie jest. Jego podręcznik, rozszerzony pokaźnie w kilka wieków później, jest przypuszczalnie najstarszym z zachowanych indyjskich. Bezwątpienia niewiele później od Czaraki żył Suśruta, którego dzieło również nie dochowało się w stanie nienaruszonym; w w. IX i X nazwisko autora słynęło w Kambodży na wschodzie, a u Arabów na zachodzie. Wreszcie Wagbhata żył prawdopodobnie dopiero w w. VII lub nawet VIII, w każdym razie znacznie później od obu dopieroco wymienionych autorów. Na przełomie dwu pierwszych tysiącleci naszej ery literatura medyczna indyjska zaczyna się coraz świetniej rozwijać. Nie tu jednak miejsce na pisanie o tem. Chciałem tylko, by czytelnicy, którzy spewnością słyszeli o „ojcu medycyny greckiej", Hippokratesie dowiedzieli się odrobinę i o „ojcach" medycyny indyjskiej.

MEDYCYNA INDYJSKA, A GRECKA I INNE.

Wywoławszy z lasu wilka greckiego, skorzystam odrazu ze sposobności, by powiadomić czytelników króciutko o wzajemnym stosunku medycyny indyjskiej i greckiej. Nie może ulegać wątpliwości, że początków medycyny indyjskiej trzeba szukać w samych Indjach. Równie bodaj pewne jest jednak, że niektóre z wielu analogji grecko - indyjskich medycznych tłumaczą się przejęciem przez Hindusów pewnych wiadomości lekarskich od Greków, zwłaszcza w dziedzinie chirurgji. Pewne środki lecznicze znów, jak opium i rtęć, oraz np. proceder badania pulsu przejęli Hindusi od Persów i Arabów; z drugiej strony dzieła indyjskie medyczne już wcześnie przekładano na perskie i arabskie. Wreszcie medycyna tybetańska i celjońska jest zupełnie zależna od indyjskiej.

POD RZĄDAMI MAHOMETAŃSKIEMI.

Władcy mahometańscy otaczali medycynę niejaką opieką. Firuz - szach (2. połowa w. XIV) wybudował szpital w stolicy, Delhi; Sikender Łodi (koniec w. XV) kazał przełożyć medyczną księgę indyjską; Dżehangir (1605 — 1627) wznosił szpitale i wyznaczał lekarzy do pielęgnowania chorych. Sam Dżehangir miał za lekarza przybocznego Francuza, Bernarda. Ojciec Dżehangira, wielki cesarz Akbar (1556—1605) sprowadzał lekarzy z portugalskiej kolonji Goa (na zach. wybrzeżu); oprócz lekarzy portugalskich byli tam także krajowi, ochrzczeni, paradujący dumnie pod parasolami (oznaka władzy i poważania na Wschodzie), i tym krajowym właśnie sami Portugalczycy — nie wyłączając wicekróla — więcej ufali niż ziomkom.

Od owych czasów datuje się też rozpowszechnianie się medycyny europejskiej w Indjach. Podróżnik Tavernier (2. poł. w. XVII) odwiedził młodego chirurga holenderskiego, pozostawionego przez posła z Batawji — na specjalne życzenie władcy indyjskiego — w Golkondzie. Inny znany podróżnik francuski, Bernier (tenże okres) był 10 lat lekarzem przybocznym cesarza Aurangzeba.

W GOA I SURAT.

Niewiele później chirurg angielski Fryer, który podróżował po Persji i po Indjach (w 11. 1672—1681), opowiada o lekarzach z Goa jako wielkich krwiopijcach: puszczali krew hojnie, „ledwie co tam zostawiając w naczyniach na obieg; na to okrucieństwo niektórzy skarżą się po wyzdrowieniu z nienawiścią." Niezbyt wysoko stała sztuka lekarska w pobliskiem mieście Surat. jak pisze tenże chirurg: „Pacjenci poddają się zaklęciom i czarom i idą za radami starych bab. Jest tu stary bramin - lekarz, który zebrał ładny majątek; a nie żądają wynagrodzenia, tylko każą sobie płacić za leki (zatem jakie paskarskie ceny??) i uważają się za dostatecznie zaszczyconych, jeśli człowiek uczci ich tytułem swego lekarza. Ten bramin przychodzi codzień i bada puls każdemu w faktorji i często biorą od niego proszek na febrę, który działa tak niezawodnie jak chinina; jest on sporządzony z cynobru. „Jakieś pół wieku później Hamilton opowiada, że w Surat kapucyni leczą biednych za darmo, a na przeciwległym krańcu Indyj, w Kalkucie istnieje ładny szpital, elcz niewielu z niego wychodzi (w ciągu jednego roku na 1,200 europejczyków pochowano 460!).

LEKARZE KOMPANJI WSCHODNIO - INDYJSKIEJ.

Kompanja Wschodnio - Indyjska utrzymywała własnych lekarzy, wynagradzanych coprawda dość skąpo jak na ludzi, służących poza krajem: dowiadujemy się, że np. chirurg w Madras dostawał 36 funtów rocznie. Dwu lekarzy — Broughton i wspomniany już Hamilton — odegrało znaczną rolę w dziejach Kompanji na terenie Indyj. Broughton wyleczył córkę cesarza Szachdżehana (1628—1658), straszliwie poparzoną, i wyprosił w nagrodę za to przywilej handlowania w Bengalu. Hamilton zaś wyleczył cesarza Farruchsijara z choroby, stojącej na przeszkodzie małżeństwu, i otrzymał ferman handlowy (oraz złote modele swych instrumentów chirurgicznych).

JAK LECZONO DAMY KRAJOWE?

Na zakończenie coś lżejszego i weselszego.

Leczenie dam krajowych przez doktorów europejskich nie należało do rzeczy łatwych. By zbadać puls, trzeba było poczekać, aż pacjentka wystawi rączkę przez otwór w zasłonie, a na dobitkę z biednych lekarzy europejskich nieraz niemal kpiono, każąc zdrowej służącej zajmować miejsce chorej pani za ową zasłoną (miała to być niby „próba biegłości"!). Czasem nie obeszło się bez długich ceremonji. Tak np. lekarza (nazwiskiem de Lan), który miał leczyć królowę Golkondy, rzezańcy wykąpali natarli go wonnościami i odziali w szaty krajowe; zanim jednak puścił krew dostojnej pacjentce, obmyto mu powtórnie ręce i ramiona i nasmarowano wonnemi olejkami. Dopiero teraz królowa wystawiła ramię przez otwór w zasłonie. Ale też pacjenci takiej kondycji płacili honorarjum zazwyczaj w złotych monetach, któremi napełniano miednicę (za kąpiel, olejki i wonności oraz obsługę nie odliczano).

W ten sposób dojechaliśmy szczęśliwie prawie do w. XIX. Ten wiek oraz bieżący wymagałyby osobnego artykułu.

Dr. Eugenjusz Słuszkiewicz.

—=o=—

Niewinne krwiotoki

Krwawienie z nosa podpada z reguły pod miano choroby. Jest to przypadłość niewinna, występująca najczęściej u dzieci, a spowodowana czyto jakimś urazem, czy przemęczeniem, udarem słonecznym itp.

Że zdarza się to dość często, tłómaczy się to warunkami anatomicznemi. Jama nosowa wyścielona jest cienką błoną śluzową, wśród której przebiegają liczne drobne naczynia krwionośne. Naczynia te, nie chronione ani tkanką mięsną, ani tłuszczem lub skórą, ulegają bardzo łatwo obrażeniu, co powoduje krwawienie.

Wystarczą jednak zwykle i proste zabiegi, by krwotok taki zahamować, — a zdrowy organizm dziecka nie ponosi przez to żadnej szkody.

* * *

Poważniej już wygląda taki krwiotok u ludzi starszych, lubiących się wesoło bawić i amatorów trunków. Ludzie tacy skłonni są do kongestji, cierpią nierzadko na zwapnienie tętnic i zwiększone ciśnienie krwi. Ten ostatni moment właśnie bywa u nich najczęściej powodem do krwawienia z nosa, występującego najczęściej po jakiejś suciej libacji lub nadmiernym wysiłku fizycznym.

I wówczas kwiotok podobny jest raczej zbawienny dla danego osobnika, Stanowi on niejako „klapę bezpieczeństwa" dla organizmu, któremu groził jakiś niebezpieczny inny krwotok, np. naczyń krwionośnych mózgu, mogący wywołać wręcz fatalne następstwa.

Tego rodzaju krwawienia z nosa u ludzi starszych, po pięćdziesiątce, nie przedstawiają zatem żadnego niebezpieczeństwa, o ile nie trwają zbyt długo. Dopiero wówczas, gdy krwiotok nie da się zahamować zwykłemi środkami, a utrata krwi jest znaczna (ponad 500 gramów), konieczna jest interwencja lekarza.

* * *

Są to dwa niejako typowe, najczęściej obserwowane wypadki krwiotoków z nosa. Mogą one jednak występować i w rozmaitych stanach patologicznych, jako uboczne, a charakterystyczne objawy przy anemji, miażdżycy tętnic, polipach nosowych, wreszcie przy rozmaitych chorobach serca, wątroby i nerek.

Wspomnieć wreszcie należy o krwawieniach z nosa, występujących niekiedy u lotników podczas raptownego opadania w dół ze znacznej wysokości co ma swe źródło w naglej zmianie ciśnienia powietrza.

* * *

Jak sobie należy radzić w podobnych wypadkach? Medycyna ludowa zna cały szereg „niezawodnych" środków, począwszy od przykładania pajęczyny do nosa, aż do przykładania zimnego żelaznego klucza lub podobnego przedmiotu na krzyże.

To ostatnie ma do pewnego stopnia swoje uzasadnienie: Przyłożenie jakiegoś zimnego przemiotu do ciała powoduje drogą refleksu skurcz naczyń krwionośnych. Ale lepiej i skuteczniej działąać tu będzie okład z zimnej wody

Właściwe, racjonalne zabiegi, które możemy wykonać sami, nie uciekając się do pomocy lekarza, są następujące:

Pacjenta należy posadzić w miejscu przewiewnem, z głową podniesioną do góry. Na nos i kark stosujemy zimne okłady; o ile to nie pomaga, zakładamy do nosa tampon z waty lub z gazy, wciskając ją dość mocno i głęboko. Czasami wystarczy silne przyciśnięcie skrzydełek nosowych na przeciąg paru minut, by zatrzymać krwawienie.

Gdy jednak zabiegi te nie pomagają, lub gdy krwawienie powtarza się zbyt uporczywie, trzeba przywołać lekarza, który w swym arsenale ma cały szereg skutecznych środków, jak przyżeganie kwasem chromowym, specjalne tamponowanie itd.

I lekarz tylko może zorjentować się czy krwiotoki podobne nie są zwiastunami lub następstwami jakiejś poważniejszej choroby organicznej.

(dr. L.)

—x—

Historja miar metrycznych

Kwestja wprowadzenia jednolitego systemu miar i wag, nabrała aktualności z chwilą, gdy poszczególne szczepy i narody zaczęły nawiązywać wzajemne stosunki handlowe polegające na sprzedaży czy wymianie towaru.

Już w historji starożytnego Egiptu czytamy o stosowaniu ustalonej miary. łokcia świętego, zwanego także „łokciem piramidowym“, a podzielonego na 25 cali. I jest rzeczą ciekawą, że miara ta równa się niemal zupełnie używanym obecnie w Anglji miarom.

Łokieć piramidowy odpowiadał 0,63566 metra, co równa się jednej dziesięciomiljonowej biegunowego promienia Ziemi. z faktu tego niektórzy badacze wysnuwają wniosek, zresztą dość fantastycznie brzmiący, jakoby starożytni Egipcjanie, na podstawie dokładnych obliczeń geodezyjnych właśnie taką długość łokcia przyjęli za ustaloną miarę.

W związku z powyższem omawiano też obszernie „zagadkę piramidy Cheopsa“, której wymiary miałyby świadczyć o dokładnej a zdumiewające znajomości geodezji, geometrji, a nawet astronomji u jej budowniczych.

Nie zajmując się obszerniejszem omówieniem tej „zagadki“, — powróćmy do sprawy systemu miar i wag.

* * *

Każdy niemal naród miał początkowo swój własny system. Mierzono na stopy, cale, łokcie. Były to pojęcia konkretne, zaczerpnięte z codziennego życia. Znane one były już w starożytności, jak o tem świadczą wykopaliska, wśród których znaleźć można kamienną miarę, umieszczoną na ścianie jakiegoś budynku.

Coś podobnego istniało też i we Francji przed sześciuset laty. Była to tzw. „toise“, miara zaznaczona dwoma występami na murze ówczesnego „chatelet“, wedle której kontrolowali kupcy swe własne miary.

Z biegiem czasu jednak pokazało się, że miara ta nie może dawać zupełnej gwarancji dokładności i stałości raz spowodu naturalnego zużywania się, powtóre zaś z tego względu, że kontrolowanie miar i uzgadnianie ich z „toise“ zależało w dużej mierze od skrupulatności, a nierzadko i od dobrej woli zainteresowanych.

Trzeba było znaleźć inną, niezmienną miarę, do czego przyczynił się w dużej mierze rozwój nauk ścisłych, przedewszystkiem fizyki i astronomji.

Rozpoczęto pomiary powierzchni kuli ziemskiej. Okazało się tedy rzeczą konieczną wymierzyć przedewszystkiem jakiś maleńki odcinek ziemi, aby uzyskana w ten sposób miara mogła służyć za podstawę do dalszych obliczeń.

Pierwszym poważnym krokiem na tem polu były prace holenderskiego uczonego Snelliusa, który w wieku siedemnastym zapomocą specjalnie skonstruowanych żelaznych prętów wymierzył dokładnie odległość między Leyden a sąsiednią wsią Soeterwonde.

W następnym wieku wyruszają z Francji dwie naukowe ekspedycje, jedna do Peru, druga do zatoki Botnickiej, celem przeprowadzenia dokładnych pomiarów kuli ziemskiej. Wyniki tych ekspedycyj jednak nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

* * *

Tak stały rzeczy aż do roku 1790, kiedy to francuskie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło wniosek Talleyranda co do wprowadzenia jednolitego systemu miar i wag. Za podstawę i jednostkę tego systemu przyjęto jedną dziesięciomiljonową część ćwierci południka ziemskiego. Astronomowie Mechain i Delambre otrzymali polecenie przeprowadzenia ponownych, możliwie dokładnych pomiarów południka przechodzącego przez Paryż. Pomiary te uskutecznili na przestrzeni od Dunkierki aż do Montjouy koło Barcelony, a następnie przeprowadzono je dalej na północ i na południe, aż do Algieru z jednej, a do Anglji z drugiej strony.

Dekretem z dnia 24 kwietnia 1799 otrzymał Lenoir zlecenie sporządzenia dwóch „normalnych metrów“, zgodnie z powziętą poprzednio uchwałą Zgromadzenia Narodowego. Miały to być zasadnicze modele, nienaruszalne i starannie przechowywane pod zamknięciem. Do celów praktycznych służyć miał trzeci egzemplarz metra, tzw. „komparator“, wedle którego miały być cechowane wszystkie miary.

Faktycznie też dnia 16 lipca tegoż roku złożony został w archiwum państwowem model normalnego metra, którego długość, przy temperaturze topniejącego śniegu, odpowiadała ściśle powyższej definicji.

Meter ten sporządzony był z platyny. Równocześnie też złożono w archiwum platynowy krążek, wagi dokładnie 1 kg.

Już na kilka lat przedtem, bo w kwietniu 1795 uchwalono ustawę, wprowadzającą określenia miar i wag w metrach, kilogramach i litrach. W roku 1801 system metryczny począł urzędowo powszechnie obowiązywać, co jednak wywołało we Francji burzę protestów.

Przez szereg lat jeszcze były w użyciu stare i nowe miary, — aż dopiero w roku 1840, na wniosek ministra handlu, zniesiono definitywnie wszystkie stare systemy, a system metryczny zapanował bezapelacyjnie.

* * *

Nie odrazu jednak znalazł on rozpowszechnienie poza granicami Francji. Zdecydowanie wrogie stanowisko zajęła przedewszystkiem konserwatywna Anglja.

Zgłaszane kilkakrotnie w Izbie gmin wnioski o wprowadzenie systemu metrycznego (w. roku 1864 i 1871), zwalczane przez rząd, nie znalazły większości.

Jedynem ustępstwem ze strony rządu była ustawa wydana w roku 1897 dopuszczająca stosowanie w handlu systemu metrycznego obok obowiązującego w państwie dawnego systemu.

Natomiast w innych krajach, pozostających z Francją w żywszych stosunkach handlowych, system ten przyjął się dość szybko. Przyjęły go u siebie: Belgja, Włochy, Szwajcarja, Grecja, Niemcy, państwa południowo - amerykańskie.

Decydującym etapem była międzynarodowa konferencja, która odbyła się w Paryżu dnia 20 maja 1875, przy udziale delegatów dziewiętnastu państw. Na konferencji tej, po długich i ożywionych debatach, zgodzono się wkońcu, iż — mimo pewnych niedokładności — metr jest jednak najlepszym i najpewniejszym modelem miary.

Wynikiem tej konferencji było podpisanie przez wszystkich delegatów tzw. „konwencji metrycznej“ (convention du mètre), oraz utworzenie międzynarodowego komitetu złożonego z 18 członków, który ma za zadanie czuwać nad udoskonaleniem i propaganda systemu metrycznego.

Komitet zbiera się z reguły co dwa lata. Jego organem wykonawczym jest „międzynarodowe biuro wag i miar“ urzędujące stale w dawnym pałacyku Trianon zamku Saint - Cloud.

Tam to, w piwnicy, zabezpieczonej od wszelkich wstrząsnień i zmian temperatury pod potrójnem zamknięciem, leżą prototypy metra i kilograma, sporządzone z aljażu (90 proc. platyny i 10 proc. iridjum). Każdy w trzech identycznych egzemplarzach.

Stamtąd też wychodzą zupełnie identycznie sporządzone modele metra i kilograma, rozsyłane do wszystkich państw, należących do konwencji.

* * *

Mimo całej troskliwości, z jaką te prototypy są przechowywane, ulegają one z biegiem czasu pewnym, minimalnym coprawda zmianom, wynikającym z właściwości chemicznych i fizycznych samego materjału, z którego zostały sporządzone.

Zmiany te, wyrażające się w ułamkach milimetra, nie są jednak bez znaczenia dla uczonych, prowadzących ścisłe studja i obliczenia. Dlatego też poszukuje się innego, bardziej odpornego metalu, przyczem w rachubę wchodzą: tungsten, żelazo - nikiel, kwarc i stal chromowana. Sprawa ta jednak nie wyszła dotychczas z okresu wstępnych studjów.

W związku z powyższem są też próby wprowadzenia innej, niezmiennej jednostki miary. Miałby to być tzw. „metr świetlny“, przyczem za podstawę służyć mają zjawiska interferencji, zbadane i opisane szczegółowo przez słynnego amerykańskiego fizyka, Michelsona.

Zapomocą specjalnych przyrządów optyczych stwierdzono, że długość jednego metra odpowiada 1,533.164,03 długościom fal świetlnych czerwonego widma kadmium, w suchem powietrzu przy ciśnieniu 760 m/m i temperaturze 15° C.

Byłaby to zatem pewna wartość niezmienna i stała. Niestety, — najnowsze badania dowiodły, że nawet i długość fal świetlnych ulega pewnym wahaniom pod działaniem czynników magnetycznych i elektrycznych. Toteż wydaje się rzeczą wątpliwą, by „metr świetlny“ dawał większą gwarancję niezmienności od prototypów metra leżących w piwnicach Trianonu.

* * *

Obecnie właściwie tylko dwa wielkie państwa: Anglja i Stany Zjednoczone A. P., pozostały wierne swemu dawnemu, dość skomplikowanemu, systemowi miar i wag.

I tam jednak obserwować można powolną, lecz stałą ewolucję. System metryczny — jakkolwiek nie obowiązuje — jest dopuszczalny i uznany w całym szeregu zawodów i fabryk zwłaszcza w dziale instrumentów naukowych.

A co najciekawsze, najskuteczniejszą propagandę, w tym kierunku rozwinęły... Sowiety, zakupując przedewszystkiem maszyny, oparte na systemie metrycznym. Że zaś w ciągu ostatnich czterech lat Rosja sowiecka zakupiła w krajach tych maszyn za sumę blisko 2 miljardów złotych, — zatem konstruktorzy angielscy i amerykańscy, nie chcąc utracić tak poważnego klienta, zmuszeni byli zmodyfikować odpowiednio swe dotychczasowe metody fabrykacji.

Szybko też, bo w ciągu dwóch lat zaledwie, wprowadziła u siebie system metryczny Turcja i Japonja.

W Chinach system metryczny został zalegalizowany w roku 1906, najpierw na kolejach. Dziś przyjmuje się on coraz szerzej, jakkolwiek proces ten postępuje stopniowo tylko i pomału z uwagi na tamtejsze nieuporządkowane stosunki wewnętrzne. (kr.)

Inteligencja zwierząt

Kwestja, czy niektóre zwierzęta posiadają inteligencję, czy też tylko instynkt i czy wykonują pewne czynności tylko na podstawie tego instynktu bez zrozumienia i bez umiejętności kombinowania, nie jest jeszcze ostatecznie zgodnie stwierdzona przez uczonych. Panuje w tej dziedzinie wśród uczonych przyrodników i psychologów dość duża rozbieżność zdań. Jest to dziedzina ludzkiej wiedzy pokryta mgłą tajemniczości, którą wprawdzie rozjaśniły nieco ostatnie badania, lecz jednocześnie jeszcze bardziej uwydatniły ową tajemniczą i niepokojącą ludzkość zagadkę.

Oczywiście, nie wchodzą tu w rachubę nieraz zdumiewające wyniki tresury zwierząt, popisujących się po różnych cyrkach.

Wszystkie owe sztuczki z tresowanemi zwierzętami, automatycznie wykonywane, gdy się pozna dokładnie kulisy tresury, rzadko kiedy nasuwają refleksje o konieczności istnienia inteligencji u zwierząt. O wiele ciekawsze wyniki w tym kierunku daje nam obserwacja zwierząt na wolności. Tenże sam n. p. niedźwiedź, którego przy pomocy dość barbarzyńskiej tresury można wyuczyć kilku niewyszukanych sztuczek (stąd staropolskie przysłowie: „niedźwiedzie tany, wilczy śpiew, dziadowski płacz — to jeden bies“) w życiu na wolności daje nam często przykłady wykraczające poza granice zwierzęcego instynktu. Według zgodnych relacyj wielu myśliwych, obserwowano często wypadki, gdy niedźwiedź zauważywszy w lesie zastawione na niego żelaza przy padlinie, rzuca wpierw kamieniami na pułapkę tak długo, aż usłyszy trzask zamykającego się żelaza. Dopiero wtedy z całym spokojem, pewny już swego bezpieczeństwa, zabiera się do uczty. To by już świadczyło o zdolności myślenia i celowości działania, podyktowanego inteligencją. Przykładów takich z życia dzikich zwierząt przytoczyć możnaby dużo.

Lecz nawet i w świecie małych owadów dzieją się doprawdy cuda. Znajdujemy tam architektów, geometrów, mechaników, inżynierów, tkaczy, fizyków, chemików, chirurgów, którzy prześcignęli ludzi w mnóstwie wynalazków. Słynny badacz życia owadów, Fabre, w dziełach swych wspomina o genjalnej konstrukcji architektonicznej os i pszczół, organizacji społecznej i ekonomicznej ula i mrowiska, pomysłowych zasadzkach pająka, metodycznem gromadzeniu łupu przez odyneę, o murarskiej robocie halikodomów, o przedziwnym owadzie zwanym cercerissa, który przebijając swą ofiarę jakby sztyletem, nie zabija jej jednak, tylko paraliżuje, czyniąc z niej zwierzynę na zapas i o wielu innych zdumiewających i tajemniczych faktach.

Istnieje bogata literatura, poświęcona problemom inteligencji zwierząt. Zabierają w tej materji głos nietylko przyrodnicy, ale i wybitni psychologowie. — W swoich dziełach podają przykłady

bałające teorję, jakoby zwierzęta kierowały się tylko instynktem. Uczony francuski Hochet-Souplet, kierownik „Instytutu psychologji zwierząt", pisze o pewnym psie, który miał poczucie abstrakcyjnej idei ciężaru. Kładziono przed nim ośm kamieni, w kształcie młyńskich, zupełnie podobnych do siebie, o różnym jednak ciężarze. Na polecenie pies przynosił najcięższy lub najlżejszy, próbując przedtem wagi i nie myląc się nigdy.

Ten sam autor opowiada o papudze, którą wyuczył słowa „szafka". Było to pudełko, tak urządzone, że dało się przyczepiać do różnych punktów pokoju. W pudełko wsypywał codzienną strawę ptaka, tak, by to widział. Wyuczył potem papugę nazw różnych przedmiotów, pośród nich zaś słowa „drabinka" i zmusił, by powtarzała „wychodź", gdy wchodził po szczeblach drabiny. Pewnego dnia przyniesiono papugę z klatką do pracowni. „Szafka" była przyczepiona wysoko pod sufitem, a „drabinka" stała daleko w kącie, pomiędzy rozmaitemi, znanemi ptakowi przedmiotami. Papuga wiedziała, że pan jej tylko po drabince może wznieść się nad podłogę, a miała do tego celu słowo „wychodź". Hochet-Souplet chciał tedy, by mu poddała myśl użycia drabinki. Eksperyment pierwszego dnia nie udał się. Papuga wrzeszczała tylko słowo „szafka" i biła skrzydłami bardzo zirytowana, usiłując dziobem rozerwać druty klatki. Następnego dnia jednak zwróciła uwagę na drabinę i powiedziała: „Drabinka, wychodź szafka".

Wyraźny tu jest niesłychany wysiłek myślowy u papugi, wyraźne skojarzenie wyobrażeń i powiązanie przyczyny ze skutkiem.

Wypadki takie są znacznie częstsze, niżby się wydawało. Trzeba tylko obserwować uważnie zwierzęta. Wypadek z papugą uderza z powodu faktu, czysto mechanicznego zresztą tylko, mianowicie dlatego, że gardło papugi może wydawać głos ludzki. U psów natomiast napotyka się często skojarzenie wyobrażeń równie wyraźne, a dużo bardziej skomplikowane. Każdy z miłośników psów miał niewątpliwie sposobność zaobserwować fakt podobny do tego, o którym pisze słynny poeta i myśliciel belgijski, Maeterlinck (w „Gościu nieznanym"):

„Gdy mój pies jest spragniony, patrzy mi w oczy, a potem rzuca spojrzenie na kurek wodociągu w garderobie, a więc koordynuje doskonale pojęcie pragnienia, płynącej wody i interwencji człowieka. Obserwuje mnie, gdy się ubieram, by wyjść. Gdy sznuruję trzewiki, liże mi sumiennie ręce, by się wkraść w łaski swego bóstwa, a także powinszować mi doskonałego pomysłu przechadzki. Ma wówczas mgliste i pełne jeszcze niepokoju wrażenie przestrzeni, pachnącej drogi, gęstej murawy, niespodzianek, wonnych śmietników po różnych zakątkach, spotkań przyjaznych lub tragicznych i ścigania, daremnego zresztą, zwierzyny. Patrzy wemnie niespokojnie, trwożnie, chcąc przejrzeć me zamiary. Jeśli zapinam skórzane kamasze, wszystko, co podtrzymywało jego radość życia, wali się w gruz. Nic ma już promyka nadziei. Świadczy to bowiem, że wyruszę sam, motocyklem, znienawidzonym przezeń, gdyż go nie może doścignąć. Wówczas odchodzi ponury, kładzie się w ciemnym kącie pokoju i zapada w marzenia. Jeśli jednak wsuwam ramiona w szerokie rękawy płaszcza, zdaje sie, jakbym mu otwierał wrota raju. Nie ulega już wątpliwości, że pojadę autem, co stanowi dlań najwyższą radość. Skacze wówczas jak szalony..."

Ernest Bozzano w doskonałej pracy swej „Percepcja psychiczna zwierząt" podaje sześćdziesiąt dziewięć przykładów przypadków telepatji, przeczucia, oraz halucynacji wzrokowej i słuchowej u kota, psa i konia. Niesposób tu wszystkich wymienić. Wystarczy powiedzieć, że pies często zaczyna wyć w tej samej sekundzie, kiedy pan jego zginął, n. p. w bitwie, o setki kilometrów od miejsca pobytu zwierzęcia. Koty, psy i konie okazują wyraźnie, że dostrzegają dużo prędzej, niż człowiek zjawiska telepatyczne. — Zwłaszcza konie są bardzo wrażliwe na miejsca, gdzie „straszy". Zdaniem Ernesta Bozzano, zwierzęta te muszą odczuwać, podobnie jak my, a może nawet intensywniej i wyraźniej, otaczającą nas tajemnicę i dostrzegają pewne zjawiska, których my nie widzimy.

Największą jednak rewelacją w tej dziedzinie, która wzbudziła ogromną sensację na całym świecie i wywołała szereg polemik uczonych przyrodników i psychologów, były eksperymenty dokonywane z końmi przed dwudziestu laty, w Elberfeldzie, w Niemczech. Pisze o nich Karol Krall (Denkende Tiere), dr. E. Claparede, profesor uniwersytetu genewskiego, dr. Edinger, znakomity neurolog z Frankfurtu, H. Ziegler, profesor ze Sztutgartu, dr. Paweł Torosin z Bazylei, prof. Goldstein z Darmstadu, R. Hartkopf z Kolonji, Maurycy Maeterlinck i wiele jeszcze innych powag ze świata uczonych. Z wyjątkiem kilku niedowiarków, lub tych, którzy nie dość długo bawili w Elberfeldzie, wszyscy uznali jednogłośnie rzeczywistość faktu i zupełną lojalność doświadczeń.

Według Maeterlincka, który konkom elberfeldzkim poświęcił całe studjum, sprawa przedstawia się następująco: Przed trzydziestu mniej więcej laty żył w Berlinie stary odludek, Wilhelm von Osten. Opętała go idea badania inteligencji zwierząt. W r. 1900 kupił rosyjskiego ogiera, imieniem Hans, który obrócił wniwecz całą psychologję zwierzęcą. Zapoznawszy naprzód Hansa z pojęciami powszednimi, jak strona prawa, lewa, góra, dół i t. p., rozpoczął lekcję rachunku metodą intuitywną. Stawiał mianowicie Hansa przed stołem, na którym był zrazu jeden mały kręgiel, potem dwa, trzy, cztery i więcej. Osten, klęcząc obok Hansa, wymawiał odnośną liczbę, zmuszając go do uderzenia tyle razy kopytem, ile było kręgli na stole. Niebawem kręgle zastąpione zostały liczbami pisanemi na czarnej tablicy. Dało to wyniki zdumiewające. Koń nauczył się nietylko rachować (to znaczy uderzać żądaną ilość razy kopytem), ale także wykonywał sam rzeczywiste rachunki i rozwiązywał małe zadania. Wkrótce nauczył się nietylko rachować, ale także czytać, został muzykiem i odróżniał akordy harmonijne od dysonansów. Miał niezwykłą pamięć i oznaczał datę każdego dnia w tygodniu bieżącym. Osten wyszydzony przez uczonych, umarł ze zgryzoty w kilka lat później.

Zostawił jednak ucznia, Karola Kralla z Elberfeldu, który kontynuował dalej jego dzieło i wkrótce przewyższył mistrza. Kupiony przez niego ogier „Mahomet" w niespełna dwa tygodnie po pierwszej lekcji wykonywał poprawnie elementarne dodawanie i odejmowanie. Nauczył się rozróżniać dziesiątki od jednostek, wybijając jedne nogą lewą, a drugie prawą. Wiedział, co oznacza znak +, a co —. W cztery dni później wziął się do mnożenia i dzielenia. Po kilku miesiącach wyciągał pierwiastki kwadratowe, niedługo zaś potem sylabizował i czytał, posługując się wymyślonym przez Kralla, fonezaś potem sylabizował i czytał, posługutycznym alfabetem. Alfabet ten został przez same konie znacznie uproszczony. Uznawszy za bezpożyteczną większość samogłosek, trzymały się wyłącznie spółgłosek. Toteż słowo „Zucker" brzmi u nich „Zkr", słowo „Pferd" wychodzi jako „Pferd" i t. d.

Trudno wyliczyć rozliczne dowody inteligencji przedziwnych mieszkańców stajni elberfeldzkiej. Są to nietylko pierwszorzędni rachmistrze, dla których ułamki i pierwiastki nie mają tajemnic, ale ponadto konie te rozróżniają tony, barwy, odczytują godzinę na zegarku, rozpoznają obrazy, fotografje i t. d.

Eksperymenty w Elberfeldzie, przerwane wskutek wojny, zostały obecnie znowu wznowione. Dziś świat uczonych odnosi się do nich, z nielicznymi wyjątkami, dość sceptyczie. Nie mniej jednak nie może nie uznać pewnych konkretnych faktów, przy których zastosowano najdalej idące środki naukowej kontroli.

Jak wytłumaczyć te fakty? Czy tem, że konie posiadają wyjątkową inteligencję? W każdym razie tkwi w tem jedna z najdziwniejszych tajemnic. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło filozofom!

H. ŁUB.

Czasopisma dla ludu
w b. zaborze austrjackim w połowie XIX wieku

Rok 1848 był rokiem przełomowym w dziejach włościaństwa polskiego na terenie zaboru austrjackiego. Ochrzczony nazwą „Wiosny ludów" znany jest z licznych ruchów rewolucyjnych, które miały charakter bądź walki ludów z własnemi rządami absolutnemi, bądź też narodów uciemiężonych z najeźdźcą. Taki charakter miały i poczynania rewolucyjne na ziemiach polskich, tylko że, podczas gdy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem do walki z Niemcami wystąpił uwłaszczony i uświadomiony narodowo chłop polski, burzący się na wiadomość o ugodzie jarosławskiej, w b. Galicji robiono starania o uwłaszczenie chłopów wiedząc, że jest to ważnym warunkiem do pozyskania ich dla sprawy narodowej. Rewolucja ograniczyła się tu do małoznacznych ruchów zbrojnych w Krakowie i Lwowie, lecz o wiele ważniejszem było zniesienie pańszczyzny do czego w dużym stopniu przyczyniła się akcja demokratów.

Naskutek zniesienia cenzury i spowodu wzmożonej działalności politycznej w tym roku ukazuje się wiele nowych czasopism, odezw, broszur i t.d. Powstaje bogate w porównaniu z poprzedniemi laty piśmiennictwo wszelkiego rodzaju dla ludu wiejskiego a wśród niego poważne miejsce zajmują czasopisma, głównie tygodniki.

Po ogłoszeniu zniesienia pańszczyzny w połowie maja 1848 r. zaczął wychodzić we Lwowie „Przyjaciel Ludu, pisemko dla oświaty i zabawy ludu wiejskiego", redagowany przez Jul. St. Kamińskiego. Pismo to zawierało przez pewien czas nauki ewangeliczne z objaśnieniami rozwiązującemi do spraw aktualnych, artykuły tłumaczące ludowi jego przynależność do narodu polskiego i wzywające go do udziału w obronie wolności. Poświęcał dość miejsca i ludowi ruskiemu wzywając go do jedności z Polakami. Umieszczali w niem swe wiersze w języku ruskim M. Głowskowski i A. Lubowicz oraz pisał Baltazar Szczucki autor licznych druków dla ludu ruskiego. Mimo swe założenie był „Przyjaciel" przeznaczony nie tylko dla ludu wiejskiego lecz i dla miejskiego t. j. rzemieślników i służby. Niektóre numery są nawet prawie całkiem poświęcone stanowi rzemieślniczemu. Po kilku miesięcznem istnieniu przestał „Przyjaciel Ludu" wychodzić z końcem września a 10. X. ukazała się w „Radzie Narodowej" odezwa Kamińskiego do społeczeństwa, aby poparło finansowo wydawnictwo, na które redaktor już nie posiada funduszów.

Kamiński, autor paru pisemek ulotnych dla ludu, wydawał jeszcze później „Nowiny polityczne dla ludu" rodzaj czasopisma informacyjnego, jednokartkowego, którego wyszło tylko parę numerów.

Więcej czasopism wychodziło w Krakowie. Pierwszy zaczął się tam ukazywać „Krakus", redagowany przez Wład. Iżyckiego. Były to raczej trzy broszurki ukazujące się w maju o treści głównie historycznej. Starają się wzbudzić u chłopów partjotyzm, zaznaczając znaczenie warstwy chłopskiej w dziejach Polski. Sobieski, Czarniecki i Chłopicki są przedstawieni jako synowie chłopscy.

Dobrze redagowanem pismem dla ludu był „Wieśniak", wychodzący od czerwca do końca września, w skład redakcji którego wchodzili J. Cypcer, później ks. Leop. Górnicki a po połączeniu się „Wieśniaka" z „Prawdą" ks. Kaz. Kalinka. Korespondentem jego był poeta Teofil Lenartowicz. Tygodnik ten zawierał opowiadania z dziejów Polski. artykuły wzywające do poprawy i zgody z panami, do nauki czytania i pisania. Ponadto przynosił wiadomości z różnych państw oraz różne nauki praktyczne. Po połączeniu się z „Prawdą", pismem o charakterze bardziej religijnym, wydawanem przez niespełna miesiąc przez ks. Hen. Księżarskiego, „Wieśniak" zmienił nieco treść. Widzimy w nim powiastki z życia włościan, zawierające różne nauki i sentencje.

Najlepiej może redagowanem pismem był tygodnik „Szkoła Ludu" pod redakcją Napoleona Ekielskiego wydawanem w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Celem pisma, jak zapowiedziano w pierwszym numerze miało być danie ludowi wiadomości o kwestjach bieżących, z dziedziny różnych nauk oraz obudzenie wyższych uczuć religijnych i miłości ojczyzny. Czasopismo to dawało wiele wiadomości gospodarczych. Wychodziło najdłużej ze wszystkich czasopism z dłuższą przerwą do kwietnia 1849.

Wydawany przez Radę Narodową w Wadowicach od czerwca do listopada „Tygodnik Wiejski" pod redakcją ks. W. Wąsikiewicza miał również służyć uświadomieniu narodowemu i podniesieniu chłopa polskiego pod względem moralnym. W piśmie tem w num. z 24. VIII. zabrał głos chłop polski, deputowany na sejm wiedeński góral Stan. Pawlikowski. Jest to list opisujący obrady sejmowe i wzywający do zgody i zaufania do panów, którzy chcą dobrze dla ludu. „Tygodnik Wiejski" przestał wychodzić po pięciu miesiącach podobnie jak „Przyjaciel Ludu" spowodu braku funduszów.

Celem tych wszystkich czasopism było uświadamianie narodowe chłopa polskiego i podniesienie jego moralności. Pracowali w tem i księża, którzy w dużym stopniu przyczyniali się do uświadamiania mas chłopskich. Po usunięciu głównej przeszkody w pozyskaniu ludu wiejskiego dla sprawy narodowej, którąto przeszkodą była pańszczyzna, najbliższem zadaniem było podniesienie jego kultury gospodarczej i umysłowej. Rozumiały to nieliczne jednostki i wystąpiły do walki z ciemnotą włościan zapomocą pism i wzywaniem społeczeństwa do zakładania szkół. Powstanie kilku czasopism dla ludu w jednym roku świadczy o tem, iż starano się unarodowić chłopa polskiego, lecz za słabe tu były wysiłki niewielu ludzi. Analfabetyzm i nędza włościan a brak poparcia od warstw oświeconych sprawił, że czasopisma ludowe po kilku miesiącach istnienia upadały.

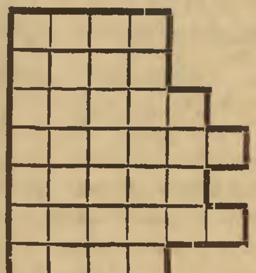
Trwałą i skuteczną pracę nad uświadomieniem narodowem włościan polskich, taką, jaką w połowie XIX. w. w Poznańskiem wydawała już owoce, zaczęli dopiero w kilkanaście lat później Czesł. Pieniążek, ks. Hołyński, ks. St. Stojałowski i inni.

Adam F-t.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Eliminatka

(ułożył Cri-cri)



W kratki należy wpisać poziomo siedm wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Wykreślając z nich kolejno litery wchodzące w skład „klucza", otrzymamy rozwiązanie. „Kluczem" jest ideał karjerowiczów-polityków sanacyjnych.

Znaczenie wyrazów: 1) ptak pospolity, 2) szlachetne gatunki gruszek, 3) tytuł sztuki granej we Lwowie, 4) rodzaj mogiły, 5) miasto w Małopolsce zachodniej, 6) zawód, 7) zwierzątko.

* * *

Szarada syntetyczna

(Napisał „John Ly")

Żonie Mojej poświęcam.

W dobie dawnej, dziś omal już **wtór-siódmej-ósmej,**
gdy w duszach naszych kwitnął raj: młodości wiosna,
gdy nie kłuły życiowe **pierwsze-czwarte** różne:
wtedy swatką nam była SZARADA MIŁOSNA.

W **raz-ósmej** cudnej dobie byliśmy szczęśliwi,
rozradowani życiem, niczem dwa dzieciaki.
Pierwszy-szósty zawodów lotu nam nie krzywił —
lotu w przyszłość, spowitą w złud SENNE MAJAKI.

Że miłość sobie prawo do szczęścia **pięć-cztery,**
to zjawisko zwyczajne i w zasadzie zdrowe —
zwłaszcza, gdy dwoje młodych związe afekt szczery,
jeśli POROZUMIENIE łączy ich DUCHOWE.

Choć **wspak szóstym** nie szczędził Los i rozczarowań
i ulegałim życia brutalnym przymusom:
samo kuszenie szczęścia urok w sobie chowa,
nęci nawet PRZEGRANA WALKA Z tą POKUSĄ...

Lecz — **wspak siedem-raz** Los nas darzył szczęściem — czyło
zawistnie nam zabraniał do bram jego wejścia:
na dnie duszy wciąż drzemie radości niesytość
i NIEZASPOKOJONA TĘSKNOTA do szczęścia...

A gdyśmy życia kawał już przeszli i gdyśmy
bliżsi mety, niż startu — to **dwa-trzy** nam nieraz
wspominać chwile, gdy to „wszystko" marzyliśmy —
NA POŻEGNANIE z życiem... jego blaski zbierać...
— — — — — —
Czemu-ż się ta szarada syntetyczną zowie?
Bowiem sześciu „miłosnych szarad" rozwiązania
Kryje w sześciu swych strofach *) — a w głównej osnowie
NAGRODĘ, którą dał nam Los... bez losowania.

*) Wyrazy drukowane dużemi czcionkami w ostatnich wierszach sześciu strof niniejszej szarady, są **rozwiązaniem** sześciu „szarad miłosnych" „Junony", ogłoszonych niedawno w naszym „Dziale".

* * *

Łamigłówka kalendarzowa

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

4
Luty
s r o k a
o p t y k
p o r t o
b r o g i
i m p a s

* * *

Cykl szaradowy: „Kobieta"

(Napisał „John Ly")

6. SZARADA

Jakie w tem **siódme-pierwsze** mężczyźni mieć mogą,
zwąc kobietę plotkarką, nie wiem — ale srogo
to potępiam i protest zakładając szczery,
przeczę temu, to znaczy z rzymska **„wspak dwa-cztery".**
To pierwsza-druga-trzecia dziś już przestarzała...
Dziś od tego jest prasa, aby plotkowała —
przedpokoje ministrów, bary śniadankowe
i... bezrobotnych mężczyzn rzesze bezcyfrowe.
Dziś już kobiety plotką ustek swych nie plamią.
Bo ona — co najwyżej — czwór-piąty swych ramion
zarzuciwszy na szyję, do ucha ci szepnie
cicho, przymilnie, słodko, z wdziękiem, niezaczepnie,
że dostały cud-auto — szóste-czwarte-siódme
któreś jej przyjaciółki... (Widziała je w brudnej
taksówce...) Czemuż mężuś ma się pieszo trudzić
miast kupić limuzynę?...
Pytam: I któż z ludzi
nieuprzedzonych temu trzy plotkarstwa miano?
W jednem tylko kobiecie plotkarką być dano,
a to... w brydżu... Tam (zwłaszcza gdy robry mąż płaci)
con amore plotkuje ci przy licytacji.
Tu fantazja jej niema granic ni barjery!
Bo naprzykład gdy z ręki zgłosisz „dwa w sześć-cztery",
to partnerka twa, chociaż lewki w karcie niema,
bez namysłu, z emfazą rżnie „w bez atu... szlema".
(Kobiety są podniosłe, więc lubią... podnosić...
Za wpad bez czteru z kontrą — musisz ją przeprosić!)

* * *

Szaradka

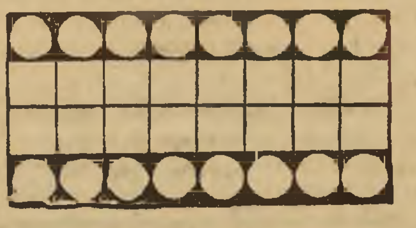
(ułożyła Hel. Mokrzycka, Drohobycz)

Gdy dotykam błota, — ręce **pierwsze-druga**
i chociaż umyte, pozostają smugi...
I trzecia-pierwsza od błota się brudzi,
lecz ta się wyczyści, jak się kto potrudzi.
Cały w życiu ludziom nieraz się przytrafi,
rozwiązać go — nawet mędrzec nie potrafi.

* * *

Logogryf

(ułożył „Eugene")



W rządki pionowe proszę wpisać ośm wyrazów o następujących znaczeniach: 1) dopływ Łaby, 2) miasto w półn. Afryce, 3) instrument muzyczny, 4) bodziaki, 5) słoń z powieści Sienkiewicza, 6) pora roku, 7) ogród rozkoszy, 8) moc.

Pierwszy i ostatni rząd poziomy dadzą rozwiązanie.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa 27 lutego.** Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

* * *

ROZWIĄZANIA Z Nr. 33

Uzupełnianka: Archipelag, Karkonosze, Skarżyński, odparzenie, oligarchja, mleczarnia, rzeka Warta, elementarz, Madagaskar.

Szarada miłosna: Niezaspokojona tęsknota.

Szarada (John Ly): Ten trzeci na tapecie.

Szarada na czasie: Ewakuacja polskich instytucyj.

Rebusik: Meteor.

Szarada: Odwołanie.

Arytmograf: Długie zapusty.

* * *

Rozwiązania nadesłali

ze Lwowa pp.: Arja, Hel. Adamowa, Eug. Boczarska, „Biały Ceś", Wład. G., Z. Kiernicka, Hel. Kowalska, Stan. Krzywobłocka, J. Kwiczoł, Z. Maksymowiczowa, J. O., Ir.-ka, Ad. Rogozińska, M. Szydłowska, W. Wolańska, Tad. Zaleski, M. Zygmuntowicz, Roman H. M. Łesiuk, Eug. Dworski, Br. Ostrowski, M. Ruxerówna, Fr. Goldowa. W. Smolicka, J. Koberwein, Sigma, „Tato Krysia". R. Wit.

z Warszawy pp. J. Alis B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill. J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski. N. K. Kozłowski. N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp.: Franc. Szczepan (Wola łużańska), „Otynja" (Otynja), M. Lityńska (Przemyśl), „Olga" (Jarosław), J. M. (Chyrów), J. Wilkowa (Rzeszów), „Tom" (Rzeszów) ks. Bron. Szwed (Stanisławów), Franc. Prus (Danilcze), Cz. Murczyński (Kraków), Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn), Hel. Mokrzycka (Drohobycz,) Irena Senze (Żychlin), M. Raczkowska (Niżankowice), Wł. Sokołowicz (Przemyśl, T. Żeglicki (Dębica).

Nagrodę uzyskała p. **Zofja Kiernicka we Lwowie.** Książka jest do odebrania w naszym kantorze.

* * *

Odpowiedź Redakcji.

J. K. Lwów. Uwaga słuszna. Szło nam jednak o szlachetne intencje autorki, zresztą zupełnej dyletantki w tym dziale.

A. S. Z wielką i szczerą radością witamy spowrotem wśród grona naszych wypróbowanych przyjaciół!

R. Wit. Klisza do łamigłówki, niestety, wypadła tak nieczytelnie w odbitce, że rozwiązanie nie możliwe. Brak rozwiązania nie wpływa jednak na ogólną „ocenę".

NAJLEPSZY ŚRODEK NA NERWY

Znakomity neurolog warszawski dr. R., zapytany raz w towarzystwie, jaki jest najlepszy środek na nerwy, odpowiedział:

— Miljon złotych gotówką. Jest to środek uniwersalny.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Zaczęto się targować.

— Zgodziłbym sią na pół miljona.

— A ja na ćwierć.

— A ja na 50.000.

— A ja na 10.000.

Rzeczywiście. W dzisiejszych czasach kłopotów i trosk każda gotówka działa niesłychanie kojąco na wszelkie dolegliwości nerwowe.

— Tylko która apteka wydaje to lekarstwo?

— Aptek takich jest wiele w całej Polsce. To kolektury loteryjne. Jeden może dostać mniejszą porcję, drugi większą, a ktoś dostanie całą dozę w postaci miljona.

— A kiedy?

— Niektórzy muszą czekać przez cztery klasy, niektórzy jednak otrzymają już lekarstwo 19 lutego, to znaczy w dniu rozpoczęcia ciągnienia I-ej klasy. W każdym razie więcej niż co drugi otrzyma.

— A więc czekamy.

— Tylko nie z próżnemi rękami. Bez recepty lekarstwa się nie wydaje, a recepta jest los do 32 Loterji klasowej. Trzeba zawczasu kupić, bo może zabraknąć. (x).

Jak „Wesoła Lwowska Fala"...

osadziła statek na mieliźnie wiślanej

Z Torunia wypłynęliśmy zabierając oprócz pasażerów i stosów towarów ostatnie promienie dobrotliwe przygrzewającego listopadowego słońca. Szczerze powiedziawszy podróż po Wiśle późną jesienią nie daje zbytnio wiele atrakcji, to też z prawdziwem zadowoleniem przyjęliśmy przybycie naszego statku do Płocka. Po dłuższym postoju w tem czarującem mieście ruszyliśmy gdzieś koło 7-ej wieczorem w dalszą drogę do Warszawy.

W „salonie" pierwszej klasy — nuda. Kilku starszych panów, pięć pań z prowincji, jakaś tajemnicza Rebeka, no i rozlewnych kształtów gospodyni. Aha, niezapominajmy: w kącie salonu — głośnik radjowy. Ale słuchanie rozmaitych audycyj radjowych przy potwornym śmiechu starszych panów i piskliwem gadulstwie jadących pań — nie daje zupełnie żadnych przyjemności. Wprost przeciwnie, wydaje się, że najprzyjemniejsza rozmowa nie może się przy takim akompanjamencie skleić. Przy dźwiękach audycyi z Moskwy, Budapesztu, potem Warszawy, Pragi i Berlina jechaliśmy tak kilka godzin. Zjedliśmy kolację, wypaliliśmy kilkanaście papierosów, rozmawiając w przerwach pomiędzy jednem rynkiem śmiechu a fortissime orkiestry, grającem w dalekiem studjo. Od czasu do czasu wyła syrena statku, płosząc śpiące w przybrzeżnych chatach kury.

Aż wreszcie, gdzieś koło dziesiątej w głośniku zabrzmiał głos Jerzego Tepy, speakera ze Lwowa, zapowiadający rozpoczęcie „Wesołej Lwowskiej Fali". w „salonie" w jednej chwili zrobiła się cisza. Umilkli rżący obywatele, panie przerwały plotki, przerwali my obgadywanie zebranych, a gospodyni bufetu kładzenie pasjansa zatłuszczonemi kartami. Po chwili niewiadomo skąd znalazł się kapitan, jego pomocnik i pierwszy mechanik w zatłuszczonym kombinezonie. Poprzez znudzony podróżą „salon" przeszedł szmer" aaa, „Wesoła fala, to Szczepko i Tońko".

Podobnie jak zazwyczaj i tym razem zespół Lwowskiej Wesołej Fali nie zawiódł pokładanych nadziei. Skecz wraz z piosenkami „Wesołej piątki" był doskonały, pan mistrzów „szmoncesu" wywoływała raz za razem śmiech, wreszcie w głośniku zabrzmiały głosy Tońka i Szczepka. Djalog lwowski jest przecież już niesłychanie popularny w całej Polsce. Cały „salon" pierszej klasy śmiał się zgodnie. Kapitan „wilk wód wiślanych" nie chcąc pozbawiać się prestiżu wobec podwładnych śmiał się dyskretnie, jego pomocnik próbował czynić to samo, śmiejąc się jednak na całe gardło, zaś pierwszy mechanik, ryczał wraz z znajdującemi się w „salonie" obywatelami z prowincji — na całe gardło, dusząc się chwilami z zadowolenia.

Djalog był rzeczywiście jednym z lepszych, nikt nie mógł mu zarzucić brak pomysłów, czy doskonałych powiedzonek. Porwał wszystkich. Niestety okazał się fatalnym w skutkach. W pewnej bowiem chwili nasz statek zakołebał się, uderzył i stanął. Kilka szklanek spadło ze stołów, głośnik począł się kołysać miarowo jak wahadło od zegara, a kapitan wraz z swymi pomocnikami rzucili się ku drzwiom. Po chwili poczęła buczeć rozpaczliwie syrena i dzwonić telegraf do maszyn. Okazało się, że dzięki Wesołej Lwowskiej Fali, ugrzęźliśmy (rzecz niezbyt trudna, skoro się zna olbrzymią ilość mielizn na Wiśle) na piaszczystej łasze. Po chwili rozpoczęły się rozpaczliwe usiłowania wydostania się z tej piaszczystej pułapki. „Pełna wprzód", potem„ pełna wtył". Dzwoni telegraf, ryczy kapitan a mechanik nie szczędzi kuksańców swemu pomocnikowi.

Wreszcie po prawie godzinnych wysiłkach zleźliśmy sami, bez wyczekiwania obcej pomocy z tej łachy. Historja z Szczepkiem i Tońkiem zakończyła się na szczęście zupełnie dobrze. Tylko podobno, nie wiem, może to są tylko plotki z kotłowni naszego statku, pierwszy mechanik urągał przez całą noc na swe pieskie szczęście, mówiąc „że ta psia krew mielizna nie mogła się trafić o kilometr dalej. Człowiek nawet tego Szczepka i Tońka nie mógł spokojnie dosłuchać do końca". No i kto mógł. tam daleko we Lwowie wiedzieć, że djalog z Wesołej Fali osadził na mieliźnie statek ze wszystkimi pasażerami, gęśmi, kurami i stosami towarów. Ah ten Szczepko i Tońko...

Klimat powieści Jalu Kurka *)

Jalu Kurek, 31-letni pisarz krakowski, otrzymał niedawno nagrodę Akademji Literatury dla młodych. Zaszczytne to wyróżnienie dało prasie codziennej i perjodycznej asumpt do mniej lub bardziej szczegółowego omówienia dotychczasowej twórczości laureata.

Nie brakło przy tem pewnych nieporozumień. Jeden z krytyków napisał np. tak:

— Panuje moda na powieść społeczną?!... — Kurek będzie społeczny jak przedtem był jedynie „awangardowy", gdy była moda na „Zwrotnicę".

Jest to zatem niedwuznacznie sformułowany zarzut, jakoby pisarz „śpiewał sobie a Muzom" do czasu, w którym przyszła moda na powieść społeczną.

Jak jest naprawdę?

Otóż od długiego czasu rozlegały się w Polsce wołania, żądające od pisarzy, aby „poszli w teren". Przyczyną tych wołań było przekonanie, że literatura współczesna pragnąc — zdaje się — nadrobić braki i zaniedbania, spowodowane długoletnią niewolą poszła drogami, na które ją skierował instynkt twórczy pisarza. Rzecz jasna, że wobec tego związek tej literatury z chwilą bieżącą, pełną nowych idej, twórczych porywów i bolesnych zmagań — był luźny.

W okresie kilku pierwszych lat niepodległości współczesna literatura polska syciła się zdobyczami (przedewszystkiem formalnemi) literatur obcych. Stąd też rodziła się moda na ekspresjonizm, futuryzm, neoklasycyzm it. Ale okres przetrawiania idej, zrodzonych przez kierunki literackie ze wschodu, południa i zachodu skończył się.

I dziś — po ukazaniu się powieści Morcinka, Gojawiczyńskiej, Boguszewskiej, Kornackiego i in. — można śmiało twierdzić, że sprawy społeczne weszły znowu w krąg pisarskiego pola widzenia. Stało się to oczywiście nie drogą przypadku, ale drogą naturalnego rozwoju zainteresowań społecznych u pisarzy. I w tym tylko sensie można mówić o „modzie" na tematy społeczne we współczesnej powieści.

* * *

Jalu Kurek zna doskonale teren, na którym, rozpoczyna się akcja „Grypy", t. j. zachodnio-małopolską wieś. Pochodząc z Jordanowa, miał możność dokładnego przyjrzenia się i poznania mieszkańców wsi i miasteczek w rodzinnej okolicy. Stąd też pochodzi niezwykła plastyką, z jaką opisuje życie chłopów i małomiasteczkowej inteligencji.

Życie to beznadziejne i ponure, pozbawione jakiejkolwiek radości, marzeń, porywów i uniesień—życie skupień ludzkich, które wegetują w dusznej i zabójczej atmosferze kryzysu. To nie jest nawet życie z dnia na dzień, wszystkie bowiem dni w powieści Kurka są do siebie bliźniaczo podobne. Jednako mroczne i jałowe, przestały spełniać rolę miary upływającego czasu, niewyczerpane w swym biegu, przeradzają się w jakąś koszmarną i niesamowitą, bo nieokreśloną, wieczność, która pochłania setki istnień ludzkich.

Taki jest **klimat** powieści Kurka. Jakże jednak jaskrawo odbija na tem właśnie tle sylwetka polskiego chłopa z Naprawy pod Jordanowem. Jest to człowiek **dobry**, choć obtargany. **Mocny**, choć obsypany słomą i gliną. Nędzny, ale **uparty** w walce z ziemią. Wiele nieszczęść przewaliło się nad nim! Koń zdechłby już dawno, ale człowiek wytrzyma.

Kurek wprowadza czytelnika w środowisko tych ludzi, którzy żyjąc pod straszliwym obuchem kryzysu, wykazują jakąś pierwotną siłę trwania, pomnożoną o niezwykły hart ducha. Pokazuje nam szereg drobnych a ważnych szczegółów życia chłopskiego, nad którem pochyla się współczującem po męsku sercem. Dla odmiany zaś prowadzi nas do małych, ubogich domków jordanowskich, w których — tak samo jak pod każdym innym stopniem szerokości geograficznej — żyją ludzie, ożywieni uczuciami nadziei i tęsknoty za lepszem jutrem. Jest ich cała galerja: magister filozof Andrzej Głaz tęskni za swą dziewczyną; ślepnący przyjaciel jego, Zygmunt, marzy o Paryżu — mieście dalekiem i jedynem; małomiasteczkowy emeryt Korabiowski do złudzenia przypomina Rzeckiego z „Lalki" Prusa lub prof. Waśkowskiego z „Bez dogmatu" Sienkiewicza — swojem stałem komentowaniem wypadków światowych, wyczytanych, w gazecie. Do tej pasji dołącza się jeszcze (właściwy również Rzeckiemu i Waśkowskiemu) idealizm który pozwoli Korabiowskiemu stanąć — wbrew opinji całego miasteczka w obronie upadłej, a również tającej w głębi duszy tęsknotę za innem, lepszem życiem, fortancerki Zeńki. To samo wysokie napięcie idealistyczne cechuje i nauczycielkę z Naprawy, i uczniów jordanowskiego seminarjum, i prezesa Kółka Rolniczego w Naprawie, i Franusia, który umierając, przyciska do zapiekłych warg rękę matczyną, mówiąc:

— Mamo, weźcie ten płaszcz.

O tem trzeba pamiętać, czytając „Grypę".

* * *

Kurek, jak to zauważył jeden z krytyków, posiada zdolność podnoszenia rzeczywistości niejako do drugiej potęgi. Ta zdolność uchroniła też pisarza od weścia w swej powieści na drogę naturalizmu. Jeżeli bowiem uznać należy „Grypę" za dokument czasu, to z drugiej strony należy podkreślić, iż obraz nędzy zawarty w powieści nie jest zdublowaniem rzeczywistości, lecz artystycznem jej przetworzeniem przy równoczesnem wiernem zachowaniu rysów oryginału.

W jednem tylko autor poszedł zadaleko, mianowicie w opisie czynności fizjologicznych, które w ogólnym obrazie życia nie odgrywają tej roli, jaką im Kurek nadał. To zostało już niejednokrotnie, w odniesieniu do wielu innych powieści, stwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

* * *

Powieść Kurka jest zjawiskiem literackiem dużej miary. Niezwykłą bystrość patrzenia i widzenia, ogarniającego mnóstwo spraw i zagadnień, pomnożył Kurek o ciekawy i oryginalny wysiłek, w dziedzinie kompozycji powieściowej. Szereg zwartych, kinowo krótkich epizodów złączył w organiczną całość nietyle zwykłą powieściową narracją, ile wspólnym **klimatem**. Dobierając celowo każdy szczegół obrazu, zamknął Kurek w swej powieści imponujące bogactwo wyobrażeń, myśli i wzruszeń, które odznaczają się wysokiem napięciem.

Dlatego książka w pełni zasługuje na nazwę porywającej lektury. **(wł. p.)**

*) Jalu Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie", wyd. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1935.

Verdi i jego „Falstaff"

Polskie Radjo zapowiedziało na najbliższe dni nową biesiadę dla melomanów: z medjolańskiej „La Scala" transmitowaną będzie opero Verdiego „Falstaff".

Wypaadłoby zatem coś o niej napisać, by tysiące radjosłuchaczy niejako „wprowadzić" i odpowiednio przygotować.

Ba, — kiedy muszę przyznać się ze wstydem, że owego Falstaffa zupełnie nie znam! Słuchałem kilkanaście razy i Trubadura i Trawiaty; słyszałem Rigoletto i Bal maskowy.

Zachwycałem się „Aidą", wystawioną kiedyś, przed wojną, w rzymskim amfiteatrze w Weronie, pod gołem niebem, z cudownemi efektami świetlnemi, dzięki bezinteresownej „współpracy" księżyca.

Słyszałm nawet owo potężne, niezapomniane „Requiem", które wraz z „Aidą" zadecydowały o sławie światowej Verdiego.

Ale o „Falstaffie" nie było słychać na scenach polskich, a nawet na scenach zagranicznych, opera ta dłużej utrzymać się nie zdołała.

A przecież — zgodnem zdaniem krytyków włoskich, — Falstaff, ostatnie dzieło wielkiego mistrza tonów, uważane jest za szczyt jego twórczości artystycznej, za dzieło najbardziej dojrzałe i najbardziej współczesne, jakkolwiek napisane u schyłku zeszłego wieku, w roku 1893.

* * *

Verdi musiał być — jak zresztą każdy rodowity, szanujący się Włoch, — amatorem wina. Cały świat obiegła i niesłychanie popularną stała się owa melodja, prawdziwa perełka sztuki muzycznej, z Traviaty: „Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłości". Wino i miłość, to dwa nierozłączne pojęcia w tej operze, pełnej czarującego liryzmu.

Spotykamy się z kielichami i z winem również i w drugiej operze Verdiego: w „Otellu", w akcie pierwszym. Jago namawia nawet Desdemonę do picia: „Zamaczaj języczek"::: namawia ja urągliwie, choć w sercu jego wrze piekło zazdrości.

Ale „Falstaff", — to poprostu propaganda pijaństwa; pojęta na wesoło, choć z ukrytem żądłem złośliwej przekory.

W akcie trzecim Falstaff siedzi samotny w gospodzie „Pod podwiązką". Jest smutny: „podły jest ten świat.. zginęła cnota.., wszystko się psuje..:" Więc — na frasunek, dobry trunek: trzeba dolać trochę wina do wody z Tamizy. I odrazu świat mu się rozjaśnia „znika smutek wszelki".... z ust wino płynie do mózgu i tam budzi małego kowala, co wykuwa wspaniałe trele..."

Wesoło mu się robi. Więc w końcowej scenie oświadcza, że „tutto nel mondo e burla"... że cały świat, to jedna wielka farsa.

* * *

Amatorzy kieliszka zgodzą się może z refleksjami Falstaffa na temat wina. Ale w operze tej trzeba doszukiwać się pewnej głębszej myśli i pewnych specjalnych intencyj.

Przypomnijmy sobie pokrótce życie i karjerę Verdiego.

Rozpoczął ją, rzecz dziwna — operą komiczną „Un giorno di regno", która sromotnie upadła; słusznie zresztą, była to bowiem rzecz zupełnie niedojrzała i bez większej wartości.

Konserwatorjum medjolańskie odmówiło mu przyjęcia jego pierwszych utworów, wyrażając się bardzo krytycznie o jego uzdolnieniu i kwalifikacjach.

Niezrażony tem Verdi tworzy dalej. Rok 1842 przynosi mu wielki tryumf: wystawiony w Medjolanie „Nabucco" przyjęty został wręcz entuzjastycznie. Verdi odrazu staje się sławnym mistrzem.

I znów powstaje szereg dzieł, pisanych gorączkowo, niemal rok po roku. Wszystkie te opery jednak (z wyjątkiem może Hernaniego, który utrzymywał się w repertuarach oper przez długie lata) nie miały powodzenia.

Dopiero od roku 1851 nazwisko Verdiego staje się głośnem w całym świecie. Pojawiają się kolejno: Rigoletto, Trubadur, Traviata; Bal maskowy; wreszcie Aida. Verdi stoi u szczytu sławy i u szczytu swej twórczości artystycznej.

Wspomnieć też trzeba i o „Don Carlosie"; operze powstałej w r. 1867, której „premjera" odbyła się niedawno na scenie opery warszawskiej.

Jeszcze kilka oper, jeszcze potężne, nieśmiertelne „Requiem", — wreszcie „Otello" i ostatnie jego dzieło Falstaff.

* * *

Ten ostatni odbiega od typu innych dzieł wielkiego mistrza, w których wypowiedziała się w pełni jego nawskróś dramatyczna natura i jego czysto włoski styl heroiczno - liryczny. We „Falstaffie" Verdi robi pewnego rodzaju porachunek z całym światem, który nie szczędził mu licznych goryczy i zawodów, który długo nie umiał ocenić i ukorzyć się przed jego genjuszem. „Cały świat, to jedna wielka farsa", konstatuje nie bez pewnej satysfakcji wewnętrznej Verdi przez usta swego bohatera.

Toteż zapowiedź transmitowanie tej właśnie opery komicznej z „La Scala", wywołała niezwykłe zaciekawienie wśród wszystkich miłośników muzyki Verdiego, temwięcej, że usłyszymy ją w pierwszorzędnej obsadzie.

Polskie Radjo znowu przysłuży się tem dobrze w krzewieniu i pogłębianiu naszej kultury muzycznej.

* * *

A propos kultu Verdiego przypomina mi się jedna historyjka z czasów dawnej Austrji.

Przed wojną gościłem często w Gorycji i Tryeście. Imponowało mi to, że niemal co druga szkoła w tych miastach nazywaną była imieniem Verdiego, który przecież na polu szkolnictwa niczem się nigdy nie zasłużył. Ha, myśli sobie muzykalne te dzieci i ci nauczyciele włoscy na austrjackiem pobrzeżu Adrjatyku.

Nie jakiś Strauss, czy Millöcker lub Offenbach, nie Wagner, czy Haydn, tylko „ousgerechet" Verdi.

Aż jeden ze znajomych Włochów pocichu wyjaśnił mi tajemnicę: VERDI, to właściwie skrót, bardzo pomysłowy. Czyta się to: *Vittorio Emanuele Re D'Italia!*

Tak oto autor Aidy i Falstaffa przysługiwał się ongi włoskiej irredencie w Austrji.., (Lucy),

Ciekawy wynalazek w kosmetyce

Wszystkim już dziś wiadomo, że witaminy są najważniejszą pożywką dla ciała i całego organizmu, bez nich bowiem ciało marnieje. Nowoczesna wiedza na polu medycyny stwierdziła dalej, że tak zwane hormony służą do regeneracji organizmu. Na wynikach tych oparła się nowoczesna kosmetyka i zastosowała oba te czynniki, witaminy i hormony do odmłodzenia skóry. Zagranicą stosują kremy o zawartości witamin i hormonów z najlepszym skutkiem. Ostatnio doszło do naszej wiadomości, że jedna z poważnych fabryk kosmetycznych w kraju produkuje tego rodzaju krem witaminowo-hormonowy pod nazwą „Alcara". Nie ulega wątpliwości, że ciekawa ta nowość zainteresuje najszersze sfery. (x).

„Ludzie genjalni"

Badanie genjalności ma swą długą historję. Genjusze jako ludzie, wystrzelający ponad tłum przeciętnych jednostek, oddawna zwracali na siebie uwagę zarówno tłumów, jak i uczonych. Wszak można powiedzieć, że duża część dziejopisarstwa to historja ludzi genjalnych i ich czynów. Genjalność bywała różnie oceniana w ciągu wieków.

Spór co do samej istoty genjusza rozpoczął się od chwili wystąpienia **włoskiego neurologa Lombrosa z jego teorją o pokrewieństwie między genjuszem a obłąkaniem.** W roku ubiegłym przybyło do tej dziedziny niezwykle ciekawe dzieło **współczesnego sławnego neurologa niemieckiego, badacza temperamentów ludzkich. Ernesta Kretschmera**[1]. Jest rzeczą dziwną, że ukazanie się książki tej, rzucającej niezwykłe światło na badanie genjalności, przeszło naogół w Polsce bez głośniejszego echa.

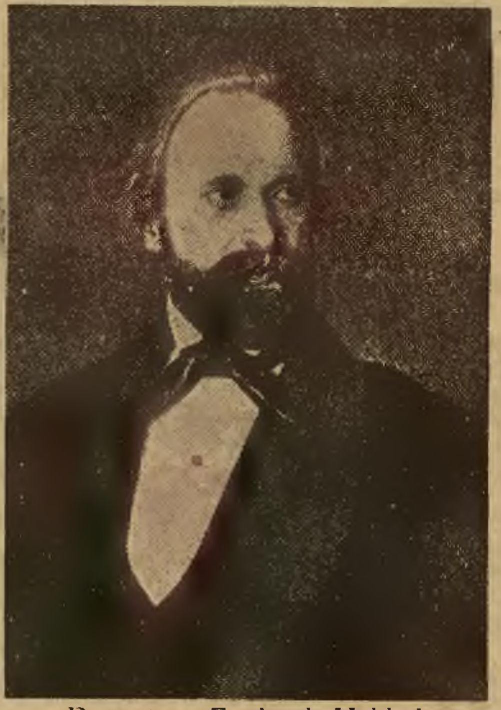
Być może, że przyczyną tego jest ciężki styl książki, wcale niełatwej w czytaniu, ale jednak, kto potrafi przestudjować ją do końca, dowie się ciekawych rzeczy. (Niedawno w ankiecie tygodnika „Prosto z motsu", znakomity artysta, Stefan Jaracz, oświadczył, że „Ludzie genjalni" była to najciekawsza książka, jaką przeczytał w r. 1934).

Nazwisko Kretschmera znane jest dobrze w nauce od czasu ukazania się jego dzieła „Körperbau und Charakter" (Budowa ciała a charakter). Dzieło to miało ogromne znaczenie dla psychologji, ponieważ w **niem właśnie zastąpił Kretschmer pokutujący jeszcze od czasów starożytnych podział temperamentów ludzkich na choleryczny, sangwiniczny, melancholiczny i flegmatyczny. in nym podziałem przez siebie wymyślonym na pykników, asteników (leptosomików), atletów i dysplastyków.** Niezapomnianą zasługą Kretschmera było ostateczne ugruntowanie poglądu w nauce, że temperament człowieka i jego sposób reagowania na bodźce zwnętrzne jest ściśle związany z budową ludzkiego ciała.

Ponieważ zaś zagadnienie owego podziału ludzi według budowy ciała i charakteru jest ważne dla zrozumienia koncepcji genjalności u Kretschmera, przeto musimy poznać, co oznacza ten nowy podział ludzi. Otóż **pyknik'em** (nazwy pochodzą prawie wszystkie z języka greckiego) nazywa Kretschmer człowieka o krągławej, przysadzistej budowie, z miękkiemi, szerokiemi i proporcjonalnemi rysami twarzy (patrz portret **Aleksandra Humboldta); astenik** (lub leptosomik) to znów człowiek o budowie ciała wysmukłej, o ostrych, chudych rysach twarzy (patrz portrety **Fryderyka Hebbla i Emanuela Kanta).** Te dwa typy budwyo ciała, względnie ich kombincje trafiają się wśród ludzi najczęściej. Mniejsze znaczenie mają dwa inne typy: atletów, ludzi kościsto - muskularnych, o silnej budowie ciała oraz dysplastyków t. zn. ludzi nienormalnie rozwiniętych lub posiadających jakąś ułomność fizyczną. Jeśli teraz idzie o charakter, to pyknicy odznaczają się naogół żywem, wesołem, pogodnem usposobieniem; w razie popadnięcia zaś w chorobę umysłową, mają skłonność do tzw. szałów okresowych. Astenicy natomiast są to naogół ludzie nerwowi, drażliwi, subtelni, skłonni do życia samotnego w przeciwieństwie do naogół towarzyskich pykników. W razie zachorowania na chorobę umysłową, astenicy popadają najczyściej w schizofrenję czyli rozpad osobowości połączony z otępieniem umysłowem. Podział ten jest dość naturalny i jak dalej wykażemy, oddaje wielkie usługi przy badaniu ludzi genjalnych.

Musimy teraz dowiedzieć się, **co według Kretschmera jest istotą genjusza?** „Czy podobnie jak Lombroso mamy wysnuć z tego wszystkiego wniosek, iż genjusz to obłąkanie? Stanowczo nie uczynimy tego, ale powiemy raczej: **genjusz jest to rzadki i krańcowy wytwór odmian rodzaju ludzkiego.** (str. 24). Gdy więc badamy obszerny materjał biograficzny bez uprzedzeń, i bez frazeologicznych upiększeń, rozwiewają się wszelkie wątpliwości co do tego, że **między genjalnością a dziedziną psychopatyczno - degeneratywną istnieją rzeczywiście poważne związki biologiczne...** (str. 26). Im więcej studjuje się życiorysów, tem bardziej utrwala się przekonanie, iż stały u genjuszów współczynnik psychopatologiczny nie jest tylko pożałowania godnym i nieuniknionym szczegółem w życiu człowieka genjalnego, lecz poprostu niezbędnym wewnętrznym czynnikiem istotnym, może nawet niezbędnym fermentem genjalności w najściślejszem znaczeniu słowa. (str. 31)". — Oto szereg zdań, wyjętych z rozdziału pt. „Demoniczność"; widać z nich, jak pojmuje Kretschmer istotę genjusza.

Trzeba wszelako już tutaj zgłosić pewne zastrzeżenia. **Kretschmer jest lekarzem — psychjatrą.** Do badania temperamentów ludzkich, a później ludzi genjalnych doszedł przez badanie ludzi chorych umysłowo. Stąd jego punkt widzenia jest nieco jednostronny, co zresztą autor lojalnie sam przyznaje. O tem zawsze należy pamiętać. **Przytem materjał porównawczy, jakim operuje Kretschmer, ogranicza się tylko do genjalnych Niemców; o kilku genjuszach innych naordów zaledwie parę razy wspomina,** spośród Polaków i wogóle


Dramaturg Fryderyk Hebbel
Typ leptosomiczny

Słowian nie uwzględnia żadnego genjusza. Oczywiście, cierpi na tem całość obrazu, tem bardziej, że Kretschmer chce dojść do ustalenia pewnych praw, rządzących zjawiskiem genjalności.

Bardzo charakterystycznym jest też sposób traktowania przez Kretschmera twórczości np. literackiej ludzi genjalnych. We współczesnej nauce o literaturze przyjął się pogląd, że do osoby twórcy należy podchodzić od strony jego dzieł i przez te dzieła, a nie od strony jego życia osobistego. Kretschmer zajmuje wręcz przeciwne stanowisko: dla niego dzieło literackie jest organicznie związane ze samą sobą twórcy; chcąc zbadać dzieło, Kertschmer zwraca się do badania osoby i z takiej analizy wyprowadza wnioski tyczące się twórczości danego genjalnego pisarza. **Tak np. całą twórczość Goethego tłumaczy Kretschmer jego melancholiczno - manjakalnem czyli cyklicznem usposobieniem, w którem okresy wielkiego napięcia sił duchowych a co zatem idzie wielkiej twórczości wypadają regularnie co siedem lat.**

Pomimo wszelkich zastrzeżeń, trzeba przyznać, że Kretschmer doszedł do bardzo ciekawych wyników, jeśli idzie o związek twórczości ludzi genjalnych z ich budową ciała. Na podstawie jego wywodów można przyjąć za rzecz udowodnioną (i zilustrowaną szeregiem portretów), **iż pyknicy przeważają wśród pisarzy realistycznych, humorystów, biologów i lekarzy, podczas gdy astenicy** (leptosomicy) **mają wyraźną przewagę pośród filozofów, wielkich tragików i pisarzy dramatycznych, wśród romantyków, mistrzów stylu oraz matematyków.** Oczywiście, jak u zwykłych ludzi, tak i wśród genjuszów, najwięcej jest typów mieszanych.

W rozdziale „Pielęgnowanie uzdolnienia" zajmuje się Kretschmer sprawą, jak wpływa dziedziczność na „hodowlę" genjuszów. **Kretschmer jest zdania, iż genjusza wyhodować nie można.** Istnieją natomiast pewne dyspozycje psychiczne u jednostek czy całych rodzin, które to dyspozycje mogą przyczynić się do powstania genjusza. U rodzin idzie tu z jednej strony o pewną dziedziczną kulturę, co widzimy przedewszystkiem u genjuszów muzycznych, z drugiej zaś strony genjusz zjawia się często właśnie wtedy, kiedy dana rodzina jest na drodze do zwyrodnienia; znajduje to swój wyraz w tak częstem wymieraniu męskiego potomstwa genjusza (Napoleon, Goethe). Natomiast krzyżowanie dwu, **przeciwstawnych sobie temperamentów może również stanowić dyspozycję do powstania genjusza.** „Skrzyżowanie wytwarza przeciwieństwa wewnętrzne, napięcia afektywne, skłócone namiętności i niestałość umysłową, a wszystko razem usposabia do genjalności i — do psychopatologicznych powikłań". (str. 78).

Jednym z najciekawszych ustępów książki Kretschmera jest rozdział „Genjusz a rasa". Właściwie stanowi on polemikę z doktryną rasizmu, a rasizmu nordyckiego w szczególności. Kretschmer będąc profesorem niemieckiego uniwersytetu jest człowiekiem odważnym i pisze otwarcie o tem, do czego doprowadziły go wyniki badań. Inaczej niż prof. Czekanowski, **rozróżnia Kretschmer w Europie 4 główne rasy: nordyczną, alpejską, śródziemnomorską i dynarską, przyczem wskazuje, że wśród rasy nordycznej przeważa naogół typ leptosomiczny, spośród rasy alpejskiej pykniczny, a wśród dynarskiej atleyczny.** Kretschmer zajmuje się przedewszystkiem rasą nordyczną i alpejską, ponieważ te dwie rasy przeważają na terenie Niemiec i Austrji. Opierając się przedewszystkiem na badaniu pochodzenia genjalnych Niemców, stwierdza Kretschner na podstawie bardzo przekonywujących dowodów, iż rzekoma wyższość rasy nordycznej nie znajdzie żadnego uzasadnienia naukowego. Rasa nordyczna tam gdzie mieszka niezmieszana z innemi rasami, t. zn. w północno-zachodnich, Niemczech nie wydała prawie żadnych genjuszów. Natomiast udowodnił Kretschmer, że okolice, będące terenem zmieszania się rasy nordycznej i alpejskiej, stanowią prawdziwą kopalnię genjuszów specjalnie literackich i muzycznych. **Z tego wynika, że krzyżowanie się bliskich sobie ras prowadzi do wytworzenia, stanu,** sprzyjającemu powstawaniu genjuszów.

Osobno omawia Kretschmer sprawę najazdów i mieszania się ludności osiadłej z najeźdźcami. „Powodzenie zdobywczych najazdów zależy jedynie od stanu kultury napadniętego narodu. Stan czy faza danej kultury nie mają nic wspólnego z dzielnością i siłą napadniętej, zasiedziałej rasy, jak to szczegółowo wykazał już Spergler. Gdy kultura napadniętego narodu jest w pełni rozkwitu, to napastnicy zostają pobici i rozgromieni


Aleksander Humboldt, przyrodnik
Typ pykniczny


Słynny filozof niemiecki Emanuel Kant
Typ asteniczno-infantylny

bez względu na to, czy należą do rasy nordyckiej Cymbrowie, Teutoni), czy do rasy mongolskiej. Jeśli natomiast napotykają kulturę schyłkową, to najazd się udaje i wtedy zaczyna się krzyżowanie ras, a zarazem przy biologicznych okolicznościach sprzyjających, gdy szczepy lub rasy odpowiadają sobie, dochodzi do wytworzenia nowej kultury i mnożenia się genjuszów. Ale — dzieje się to nie w siedzibach rasy najezdniczej, lecz tam, gdzie skrzyżowanie doszło do skutku: w kraju podbitym." (str. 110).

Nie można też nie wspomnieć o kilku kapitalnych sylwetkach wybitnych ludzi, znanych w historji. Dzięki Kretschmerowi ludzie ci zyskują jakby nowe oświetlenie. Odnosi się to specjalnie do osoby Bismarcka i Robespierre'a. **„Taki jest tedy, Bismarck rzeczywisty;** postać olbrzyma z mózgiem neurastenika, zatwardziały junkier wiejski i oświecony kosmopolita w jednej osobie, niepojęta mieszanina elegancji i grubjaństwa, cywilizacji i głębi uczuciowej, dobre siłackie samopoczucie i niespokojna drażliwość, zblazowany pięknoduch o niezłomnych instynktach chłopskich, **genjusz, którego siłę woli podnieca jego słabość nerwowa"** (str. 162—163).

Robespierre „był to człowiek o niepokalanej sprawiedliwości, który nigdy nie liczył się z nikim, bo jego życie uczuciowe nie znało osób, tylko pojęcia. Piękno i komfort były dla niego pustemi słowami, a z tego wszystkiego, co pociąga zazwyczaj wszystkich ludzi, nie interesowało go nic, bo z nieograniczonej swej władzy nie starał się zdobyć dla siebie ani bogactw, ani zaszczytów. **Robespierre był nie człowiekiem, ale upiorem cnoty, jakimś somnambulicznym potworem, któremu brakło zmysłu odczuwania potworności... Czemże jest więc człowiek — władca? Robespierre, trwożliby, chorowity, sentymentalny, pedant, był jednym z najkrwawszych ludzi — władców".** (str. 176—7).

Z tych dwu przykładów można dobrze poznać metodę Kretschmera i jego poglądy. — **Widać u Kretschmera poglądy materjalistyczne (np. grubo przesadzony ustęp o twórcach nowych religij str. 179 i n.). W sumie jednak książka jego, choć może jednostronna, otwiera badaniom nad genjalnością nowe horyzonty.**

Nic może nie scharakteryzuje lepiej Kretschmera, jego wiary w odradzanie się kultur, przy pewnej pustce poglądu na na świat, jak owo zakończenie ustępu „Genjusz a rasa" (str. 113): „Stare ziemie zakwitają wciąż odnową. Któż więc może wiedzieć, co będzie dalej? I co znaczy „kultura zachodnia" i „upadek" z odległości" takich olbrzymich perspektyw? **Życie ma szeroki oddech i nie wie nic o naszych drobnych epokach dziejowych, i indywidualnościach kulturalnych - zbiorowych i jednostkowych. A przedewszystkiem nie wie ono nic o ludzkiem „ja".** Zakwita i więdnie, aby zakwitnąć znowu, a ku czemu kwitnie i więdnie — tego nie **wiemy.** Może ono na przestrzeni tysiącleci wytworzyć u nas jeszcze setkę wspaniałych rozkwitów bastardowych, a każdy, będzie odmienny i podobny zarazem do innych. Odkwitając, kultura zachodnia może jeszcze mieć nadzieję ujrzenia setek nowych, kultur i genjuszów, o ile kultura i genjusz są dla niej wogóle czemś godnem uczuć nadziei".

WITOLD NOWOSAD

[1]) **„Ludzie genjalni"** — napisał Ernest Kretshmer, prof. neurologji i psychjatrji w Marburgu. Przekład autoryzowany Pawła Hulki-Laskowskiego. Warszawa 1934.

SWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Klipsy cieszą się jeszcze wciąż dużem powodzeniem. Obecnie nosi się je również i przy paskach, zrobione z kryształu, szkła lub z błyszczącego metalu.

— Praktyczne, lekkie a wygodne są sukienki i garsonki z ręcznie dzianego trykotu, przybrane puszystą angorą.

— Nadchodzący sezon wiosenny stać będzie pod znakiem eleganckich i efektownych materjałów: tafty, faille, mory, crepe - satin. Bogactwu materjałów odpowiadać też będzie ogromne bogactwo deseni.

Tak więc jedna z fabryk francuskich wypuściła na rynek materjał, nazwany „Minuit; clair de lune", na którym widzimy kwiaty pachnącego groszku w całej gamie kolorów, bardzo dyskretnych, pastelowych i ślicznie sharmonizowanych. Odpowiednikiem do tegoż jest drugi materjał „Midi, plein soleil"; gdzie znów lśnią całym przepychem żywych, gorących barw fuchsje, dalje i kaczeńcze.

Wogóle motywy kwiatów powtarzają się najczęściej, — choć widzi się i czarno - białe sylwetki jaskółek, motyli, a nawet drobnych figurynek.

Niezwykłą nowością są bluzki sportowe w dwóch różnych kolorach: a więc cała lewa strona (przód i plecy) niebieska, prawa strona natomiast żółta. Dziwaczną tę modę próbują niektóre magazyny mód przenieść i na kapelusze. — co jednak nie ma widoków powodzenia.

— Płaszcze sportowe proste, dość luźne, trzy czwarte długości, a nawet odrobinę krótsze. Kołnierze małe, okrągłe.

— Jupe - culotte wraca pomału do łaski, po kilku nieudanych próbach lansowania tego modelu.

— Guziki stanowią ciągle jeszcze ważną ozdobę każdej sukni. Są najrozmaitszych formatów i kolorów, podłużne, owalne, kwadratowe, zawsze jednak duże. Widzi się dużo guzików z drzewa.

— Oryginalną nowością są wachlarze z piór perliczki, prezentujące się naprawdę ładnie, dzięki żywemu ich ubarwieniu.

— A teraz wiadomość, która ucieszy Towarzystwo ochrony zwierząt„, egzotycznych: Znikają pomału torebki ze skóry węży, jaszczurek i krokodyli. Miłe te płazy ustępują miejsca innym materjałom. Nosi się torebki z czarnego jedwabiu, z filcu, a nawet — do stroj niejszych sukien — torebki srebrne.

Koniecznym jest tylko monogram, zarówno na torebce, jak na pasku. Litery fantastyczne, długie lub bardzo szerokie i grube.

— Koronki, wszędzie koronki! A więc całe koronkowe strojne toalety wieczorowe, koronkowe bluzki i kasaki (bardzo modne!) koronkowe kołnierze. Taksamo dużo koronek przy bieliźnie damskiej, nawet trykotowej.

— Uzupełnieniem fryzury balowej są djademy lub sztuczne kwiaty, — te ostatnie sporządzone z materjałów lśniących, z celofanu i t.p. Bardzo ładny efekt dają też drobne brylanty (niekoniecznie prawdziwe), powpinane pojedyńczo i rozrzucone po całej fryzurze.

Urocze młode osóbki mogą też sobie pozwolić na przybranie fryzury kwiatami żywemi, trzeba jednak zachować w tem konieczną, właściwą miarę.

Przykazania mody... w Chinach

W urzędowym dzienniku w Pekinie pojawiło się niedawno rozporządzenie dyrekcji policji, wydane „celem naprowadzenia mody kobiecej na drogę rozsądku i przyzwoitości".

Z rozporządzenia tego cytujemy parę ustępów, najbardziej charakterystycznych.

1) suknia nie może sięgać niżej jak do kostek.

2) kołnierz musi być dostatecznie niski, by nie utrudniał swobody ruchów szczęki dolnej.

3) rozcięcie sukni z boku nie może dochodzić wyżej jak do kolana.

4) najkrótsza suknia musi jednak zupełnie zasłaniać kolana.

5) rękawy muszą sięgać conajmniej poza łokieć.

6) wychodzenie na ulicę w pyjamie jest surowo wzbronione.

Najciekawszym jednak jest paragraf, zabraniający kobietom chińskim, noszącym strój europejski, pokazywać się na ulicy w suknie obcisłej w pasie, lub, co gorsza, przepasanej paskiem.

Co kraj, to obyczaj... Na ogół jednak przepisy te, prócz ostatniego, nie odbiegają zbytnio od naszych pojęć.

Wszystkie pracownie krawieckie w Pekinie zostały zawiadomione o treści tego rozporządzenia, obowiązującego od 1 stycznia b.r., z tem, że wszelkie przekroczenia karane będą wysoką grzywną.



Suknia wieczorowa z tafty czarnej, w desenie kwiatowe

Poradnik dla gosposi

Galaretka pomarańczowa

Obierając mandarynki, trzeba naciąć skórki w połowie, podważyć je łyżeczką od czarnej kawy zdjąć bez uszkodzenia.

Przygotować galaretkę o dowolnym smaku, najlepiej jedną biało-żółtą, drugą czerwoną. Gdy galaretka zacznie tężeć, napełnić nią połówki skórek mandarynkowych, wynieść do zimna.

Wydając na stół przykryć każdą galaretkę plasterkiem pomarańczy, dając na żółtą galaretkę plasterek malinowej, na malinową plasterek żółtej. Pośrodku położyć osączoną z syropu konfiturę.

Dżem pomarańczowy

Proporcja na 1 kg. pomarańcz ważonych w całości 1 kg. cukru kryształu.

Umyć czysto pomarańcze, obetrzeć do sucha. Pokrajać razem ze skórką w dosyć grube plasterki, usuwając starannie wszystkie pestki. Przygotować bardzo gęsty syrop zalewając cukier tylko taką ilością wody, którą cukier wchłonąć zdoła, przesmażyć szumując.

W gorący syrop włożyć pomarańcze pokrajane w kostkę. Smażyć na dosyć wolnym ogniu. Zdjąć z ognia z chwilą gdy skórka bedzie przeźroczysta. Składać gorący dżem w słoiki, wystudzić i dopiero wówczas owiązać pergaminem.

Chcąc zabezpieczyć słoiki przed pękaniem, trzeba je przed składaniem gorącego dżemu doskonale wygrzać w piecyku.

Ciastka — wiórki

25 dkg. masła, 30 dkg. cukru pudru, 6 białek, 32 dkg. mąki, 2 łyżeczki wody, ½ laski wanilji. Masło utrzeć na śmietanę, dodać cukier, białka, wanilję i ucierać na jednolitą masę, wlewając po trochu zimną wodę. Od dobrego utarcia zależy delikatność ciastek.

Blachę wysmarować masłem, posypać mąką i szprycką wyciskać podłużne ciastka w dużych odstępach, gdyż rozlewają się. Gdy brzegi zrumienią się, wyjmować i gorące zwijać na cienkim wałku, lub trzonku od noża w kształcie spiralnym. Przechowywać w suchem miejscu — najlepiej w słoju.

Bliny

Pół litra zsiadłego mleka, 8—15 dkg mąki hreczanej, 4 jaja, 1 łyżeczkę sody oczyszczanej.

Do rozbitego mleka dodać jaja, sodę i dobrze wymieszać. Następnie dodać tyle mąki, żeby ciasto było gęstsze niż na naleśniki. Smażyć na gorącym tłuszczu, formując małe placuszki. Podawać z kwaśną śmietaną.

ZNISZCZONY AKSAMIT odświeża się w ten sposób, że zwilża się go bardzo mocno.

Kiedy materjał nieco przeschnie, ale jest jeszcze dobrze wilgotny, wygładzamy go miękką szczotką, czesząc w tym kierunku, w jakim idzie włos aksamitu. Po takiej kuracji materjał odświeża się znakomicie.

PLAMY ZE RDZY na bieliźnie usuwamy zapomocą destylowanej wody, do której dodajemy (na ćwierć litra wody): 2 gramy octanu ołowiowego i 2 gr. siarczanu cynku.

Jeszcze o kapeluszach wiosennych

Jakże nie pisać o nich, właśnie teraz, przy kilkunastu stopniach mrozu?! Przecież to najodpowiedniejsza chwila i najaktualniejszy temat, jeżeli chcemy się liczyć z ...logiką kobiecej mody!

Przecież i u nas już widuje się takie cuda z cieniutkiej, błyszczącej słomki, w towarzystwie dobranem... futra i śniegowców.

A z kapeluszami wiosennemi będą panie miały nielada kłopot: prawdziwy „embarras de richesse". Jaka niesłychana rozmaitość form! Modystki kierują się tutaj wyjątkowo rozsądnem przykazaniem: kapelusik musi być przystosowany zupełnie indywidualnie do twarzyczki i do fryzury.

Więc dla młodziutkich niebieskookich blondynek kapelusze, przypominające ...rok 1880 lub Armję Zbawienia. Rozkoszne budki, podwiązane pod brodą, o szerokiem zachodzącem z obu stron twarzy rondzie.

Równie młodocianie wyglądają powracające niemal co roku o tej porze „bretonki" z odwiniętem śmiało rondem.

Pozatem wszelkie możliwe kombinacje: kokieteryjne czapeczki liftboyowe i fantazyjne fezy. Główki normalne, płaskie, to znów stożkowate lub zgoła wysokie jak w cylindrze.

Jedne z szerokiem rondem, zasłaniającem oczy, lub jedną połowę twarzy; inne zuchwale odwinięte, zasunięte na tył głowy.

Są i bolero i t. zw. „canotiers" i toczki i berety... Co kto lubi i w czem mu najbardziej do twarzy.

Materjały? Przeważa błyszcząca cienka słomka lub celofan. Choć... „pokutują" jeszcze kapelusze z filcu, tafty, aksamitu, a nawet — o zgrozo! — toczki całe futrzane.

Prawdziwe wiosenne kapelusze robione będą z egzotycznej słomki „panama", „Bangkok" lub „bengale". Jedna z modystek paryskich zaprezentowała nawet kapelusze... szklane. Jak zapewnia, ani się one nie tłuką, ani nie mogą spowodować skaleczenia, nawet w razie jakiejś... katastrofy automobilowej...

Co do kolorów, to „ostatnim krzykiem" paryskiej mody są kapelusze różowe! Bardzo to wygląda podobno efektownie i romantycznie, ale gdzieś na Riwjerze. U nas zimno tak bardzo różowo chyba nie wygląda...

Modne jednak będą kolory jasne, popielate, perłowe, jasno-bronzowe. O ile nie chcemy czarnych, zawsze i mimo wszystko najbardziej dystyngowanych.

Również i z przybraniem kapelusza nie będziemy miały wiele kłopotu. Modne są zarówno wstążki, jak kwiaty i pióra, poczawszy od najzwyklejszych piór gęsich.



Nowe modele płaszczy i kostjumów wiosennych

Weteranka w służbie policyjnej

Jest nią niejaka miss Kate Cochs w Adelaidzie (Australja), która po dziewiętnastu latach służby policyjnej przeszła obecnie na dobrze zasłużoną emeryturę.

Do obowiązków jej należała opieka nad młodemi kobietami, odszukiwanie zaginionych czy uprowadzonych z domu dziewcząt oraz walka z handlarzami żywym towarem.

Miss Cochs służbę swą spełniała z dużym zapałem i poświęceniem.

Z WYDAWNICTW

„Bluszcz" nr. 5 przynosi artykuł wstępny „Drepcząca działalność" omawiający zagadnienie właściwej organizacji pracy kobiecej. Z bogatej i urozmaiconej treści numeru wymienić trzeba opowieść St. Wasylewskiego o „Romantycznej kradzieży", interesujący reportaż „Ludzie i cukrowni", nowelę Z. Kunickiej „W małem mieście" i artykuł „O chrzestne matki dla Polonji zagranicznej".

Pozatem zwykłe rubryki: Ogrodnictwo, sport, przegląd prasy, przepisy kulinarne i bogato ilustrowane aktualja kobiece.

„Kobieta w świecie i w domu" nr. 3 lutowy zawiera dużo ciekawych rzeczy. A więc z dziedziny mody: wzór żabotu, model ślicznego wachlarza, rysunki i modele sukien, kapeluszy, dżemerów i bielizny. Z zakresu gospodarstwa domowego: porady i przepisy kulinarne, ciekawe rysunki najnowszych półek na książki, dalej „o wnętrzu naszych szaf i szuflad", oraz dobry artykuł „Pani gotuje sama".

Aktualną sprawę pomarańcz omawia artykuł „Zimowe witaminy", podczas gdy o rentownej hodowli ślimaków mówi artykuł „Fermy ślimacze."

Miłą niespodzianką jest nowo wprowadzona rubryka „Chcę być piękna i zdrowa", przynosząca obfite informacje z dziedziny kosmetyki leczniczej oraz odpowiedzi na zapytania czytelniczek z tej dziedziny.